ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 marca 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
40 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka·

FRANCISZEK SIEDLECKI

L I S T[*]

Cichła tyraljerka Wojny Domowej i wraz z jej łunami przygasał patos pierwszych dni. Rewolucja rozpoczynała nowy etap.

„Maksymalista“ Błok (jak go hen, przed laty nazwał Andrzej Biełyj, który wieczorem o cichym zachodzie na senny wypływał staw, by przy wtórze szemrzących trzcin, w złotych poblaskach świecy, Apokalipsę nocą czytać...), maksymalista Błok od życia domagał się tylko rzeczy nieziszczalnych — tem, co osiągalne, gardził. Od ludzi żądał czynów ponadludzkich i sam żył w ponadludzkim świecie. „Ten tylko, kto tak jak ja kochał, ma prawo nienawidzieć tak jak ja“. Więc przez całe życie skłócony z rzeczywistością („żadna rzeczywistość nie zdoła mnie zaspokoić“) — godził się z nią na krótko, by wnet, z chwilą ścichnięcia huraganu, wpadać w rozpacz — zawsze coraz głębszą.

Tak narastał tragizm, rozterka. Marzył o cichej swej pracy, o sztuce, lecz wyczuwał śmiertelne niebezpieczeństwo zaczarowanych, sennych światów poezji, czynił nadludzkie wysiłki, by się z nich wyrwać, wejść w życie, w prawdziwe, rzeczywiste życie, które ukochał — bardziej, niż sztukę, by związać się z niem, zespolić wieczyście z tem, co „tkwi w przestrzeni i w czasie“. Rzucał się gorączkowo w to życie: literackie, publicystyczne, pisał rozprawy, wygłaszał odczyty, przewodniczył towarzystwom, kierował wydawnictwami, organizował czasopisma — wyczerpany, przerażony widmowością życia, cofał się, krył się, uciekał od ludzi. Ciemne siły, czarna magja i szarlatanerja mistyki odnosiły zwycięstwo. Po rewolucji znów rzucił się w coraz burzliwszy nurt. Bierze udział w wielkich pracach wydawniczych Gorkiego, przygotowuje wydania klasyków, dyskutuje nad reformą pisowni, zasiada w jury konkursów teatralnych, pracuje w komisjach repertuarowych, reżyserskich, jest prezesem pierwszego zawodowego związku pisarzy — praca, praca bez końca, sam już nie wie, co czyni z własnej woli, w co wciąga go nurt rozszalałej rzeki; jeszcze przed październikiem pochłonie mu parę miesięcy wstrząsająca praca w Nadzwyczajnej Komisji Śledczej, zeznania dostojników carskich, Makłakowa, Goriemykina, Wyrubowej, omal że nie samego Romanowa, napisze obszerną pracę o „Ostatnich dniach starego reżimu“, ale w chwili znużenia, zgnębienia, bolesna myśl: „Czyż już nigdy mi nie przyjdzie wrócić do sztuki?“, i znów praca, praca bez końca i już ciężko chory, na parę miesięcy przed śmiercią pisać będzie jeszcze artykuły, wygłosi mowę w rocznicę zgonu Puszkina. Wyczerpywały się siły, niszczał organizm. Słabło serce.

I cichła tyraljerka Wojny Domowej i gasły łuny pożarów, na Petersburg już nie maszerował znienawidzony Korniłow, leje od armatnich pocisków porastał mech i trawa, na polach stratowanych, zbrużdżonych koleinami okopów, na ulicach opustoszałych miast, w spustoszonych duszach — cisza martwa... Więc już koniec?

„Opowiadano o zagranicy. Całkowita likwidacja rewolucji w Europie“. W kraju — martwota, ospałość...

Nieporozumienia z Gorkim co do akcji wydawniczej, arogancja współpracującego z nim Gumiliowa, zatargi z kierowniczką teatru, w którego prezydjum zasiadał. Martwota, otępienie... Już przed siedmiu laty, w 13-tym roku, po długiej pracy ukończył najukochańszą swą sztukę, „Różę i krzyż“ i niema odtąd miesiąca bez myśli o wystawieniu dramatu, ale jakieś przekleństwo zawisło nad sztuką; zapowiadano wystawienie, przygotowywano muzykę, rozpisywano role — i wciąż nic nie wychodziło. Tak zawiódł Mejerchold, Stanisławskij. Raz wreszcie realizacja zdawała się pewna. Podjął się jej jeden z teatrów w Moskwie — znów przygotowano dekoracje, rozpisano role i nagle nowy cios, który w swej bezmyślności zdawał się wszystko przekraczać: do teatru przybyła jakaś komisja techniczna, długo, skrupulatnie badała elektrownię teatralną — i zarekwirowała jej serce, małe 250-kilowattowe dynamo, żeby je wywieźć do jakiejś zapadłej dziury, do zakopconego miasteczka w Kuznieckiem zagłębiu węglowem. Teatr został unieruchomiony... Martwota. Tępota.

Spadały osobiste klęski. W nieznośnem, ciasnem mieszkaniu swarzyły się najdroższe istoty — matka i żona. Jeszcze w 18-tym roku zmarła Angielina: gdzieś w szpitalu polowym — siostra miłosierdzia — zaraziła się tyfusem. Brat zebrał, ułożył w osobną książeczkę „Jamby“, wydał. „Pamięci mojej siostry, Angieliny“. Ciężko chorowały miłe ciotki, matka. Umarł cichy i nieporadny „Francik“ — pasierb znów układał zwłoki w trumnie, znów z bladą, skupioną twarzą zapalał gromnice. Drżały ręce... Więc wszystko jak dawniej, znów ludzie umierają, znów nędza, nieszczęście, niedola?...

Przyszły straszne lata, lata głodu — chłodu. Od wieków nie działały telefony. Trzeba było dźwigać po schodach opał. Nie było opału. Paliło się meblami; jeżeli jeszcze były książki, paliło się książkami. Miesiącami elektryczności nie było. Wieczorem — praca przy ciemnej, pryskającej świeczce, nocami — dyżur przed bramą z ciężką obmierzłą wintówką w ręku. Rankami — długie kolejki po chleb. Głód, chłód... Były straszne dnie petersburskiej nędzy. W patosie niemej męki Petropolis konał.

Błok widział już tylko śmierć — patosu nie wyczuł. I nie słyszał już więcej żadnej „muzyki świata“, przestał pisać wiersze... Od wielu, wielu miesięcy słyszę wokół siebie zgiełkliwy gwar, zgrzytliwy, chaotyczny — wszystkie melodje umarły... Dokoła pustka głucha.

...Pewnego wieczoru wyszedł na swój kolejny dyżur nocny. Było dość wcześnie i ulicami snuli się jeszcze zapóźnieni przechodnie. Błok skulił się na ławce przed domem, zjeżył się cały, ołowiem ciążyła wintowka. Tego dnia czuł się wyjątkowo źle, miał dreszcze... Z odrętwienia wyrwały go znajome, okrutnie znajome słowa:

> I każdyj wieczier w czas naznaczenyj
> (Il eto tolko snitsa mnie?)...

— Błoka i jego słynną „Nieznakomkę“ znał w Rosji każdy — od uczonego do fryzjerczyka... Jakże go bardzo kochano! Jakże go nienawidzono... I śmiał się mu prosto w twarz, drwił w żywe oczy przechodzień:

> I co wieczora o tej porze
> (Czy też to tylko mi się śni?)...

Znów cisza, pustka dokoła. Księżyc wzeszedł, oświecił domy, tragicznego strażnika. I znów ktoś nadchodzi, ktoś nowy: zza węgła niedalekiej uliczki wynurza się cień, człowiek — niski, przysadkowaty, w sołdackiej obdartej szinieli, w furażce z naderwanym daszkiem, w ogromnych, rozklapanych buciorach... Ejże! cóż to za milicjant, co sobie śpi w najlepsze! Zbliżył się, żeby go zbudzić, ale światło księżyca na bladej twarzy — i ręka nie spoczęła na ramieniu śpiącego: znieruchomiała wyciągnięta przed siebie, za nią druga, obie w zabawnym geście bezradności. Śpiący wyczuł czyjąś obecność, uwidziało mu się jakieś niebezpieczeństwo — poruszył się gwałtownie przez sen i jęknął boleśnie, głośno. Tamten struchlał i jak skamieniały, z wyciągniętemi przed siebie dłońmi, zaczął się cofać tyłem, powoli, powoli stawiając wstecz niezgrabnie ciężkie kroki, aż znikł za węgłem niedalekiej uliczki.

Błok się ocknął, rozejrzał. Pustka dokoła. Ani ducha. Znów wiatr przeklęty się zrywa, uderza w blaszany szyld. Znów martwy księżyc nad domami. Znów kamień w sercu.

Gdzieżeś, o Nieśmiertelna!

* * *

Oddał Jej wszystko, twórczość, zdrowie, życie i zażądał od Niej — wszystkiego! Miałą być przecież źródłem sił żywota, kluczem do potęg Ducha. Wyniszczony śmiertelną gorączką całego życia, pragnął wody. Wszak jesteś Żywa Woda — Napój mnie! Wszak jesteś Prawdziwa Muza — Dlaczegoż nie dajesz wciąż nowych darów, kwiecistych łąk, zamków gwieździstych? Nie chciał, nie mógł dłużej czekać. Wszystko! Natychmiast! Nie mógł już czekać i niezaspokojony — a sam wiedział, że niema mocy, któraby mogła mu zadośćuczynić — przeraził się, sądząc, że go oszukano. Wszystko! Natychmiast! Wzywał: Dlaczego nie dajesz, dlaczego milczysz? Dlaczego za dotknięciem Twej ręki martwi nie wstają z grobów? Dlaczego wołgi nie wstrzymały się w biegu, nie zawróciły i płyną dawnym nurtem? Dlaczego tam, gdzie bagna, nie wyrosły góry i ocean dlaczego nie pieni się tam, gdzie były porohy? Dlaczegoś nie zalała mej znękanej ojczyzny powodzią gwiazd?

O, każdej czarnej nocy jasna gwiazda nad każdą strzechą!

Dlaczego milczysz? Dlaczego jak tłumy widm snują się ulicami gromady trupio bladych, zezwierzęconych dzieci? Dlaczego przed moim domem krzyczy z głodu konający starzec?...

Lecz Błok był za wielki, za szlachetny, by rzucić kamieniem w to wszystko, co mu się widziało już umarłe albo jeszcze gorzej — nikczemniejące. Konał w milczeniu, z surowo zaciśniętemi ustami. Tylko wierszy już nie pisał. Tylko w nocy rozpaczliwe sny. Tylko w pamiętniku gorzkie jak piołun słowa.

„Jednej rzeczy nie można odmówić bolszewikom — to ich wyjątkowych zdolności niszczycielskich. Uderzyło mnie to w Szuwałowie... Mieszkańców prawie niema, letników ani śladu. Koło sowietu pogorzelisko... Dzisiaj nazjeżdżało się widocznie dużo szkół, ale dzieci nie dostały herbaty, bo zabrakło gorącej wody... W herbaciarni pustki, stołów prawie niema, znikł i gramofon... Wszystko zapługawione... Nikt nic nie chce robić...“. Więc koniec już. I obolałe, cierpiące oczy nie widziały już, jak na stratowanej, sponiewieranej, zrytej pociskami, skopanej kopytami setek tysięcy koni, zbrużdżonej koleinami okopów, jeszcze wilgotnej od krwi i jeszcze ciepłej od pożarów, kolosalnem pchnięciem wytrąconej z posad ziemi kiełkują zwolna młode pędy, przebija się zieleń traw i zarysowują się mgliste, tajemnicze kontury nowego życia, które rośnie jeszcze nieśmiało, nieświadome siebie, lecz już nad podziw bujne, nieokiełzane, w potężnym naporze wyzwalających się sił, w męce i walce narodzin.

Niebawem tragedja Błoka stała się wszystkim wiadoma.

Emigracja tryumfowała. Złe, jadowite języki z pośpiechem mełły nowinę, miesiły lube ciasto, rozrosłe, spęczniałe potwornie na drożdżach usłużnej plotki. Błok podniósł chorągiew buntu! Błok stworzył natchniony, przeciwbolszewicki poemat! Czekiści już czyhają... Przebaczono Błokowi jego dawne zdrady, upadki, wyrafinowana poetessa, Zinaida Gippius-Mierieżkowskaja gotowa go już skreślić ze swych list proskrypcyjnych: nie będzie już powieszony wraz z innymi. Kto wie? może nawet po śmierci Alieksandra Alieksandrowicza madame Gippius wybierze się na pogrzeb?

Gorkij, Łunaczarskij — rozkładali ręce zgnębieni, w poczuciu kompletnej bezradności; próbowali ratować, pomagać, lecz wiedzieli, że katastrofa jest nieuchronna, zbliża się z fatalną konsekwencją, jak spadająca lawina... Błok był lawiną.

Szary tłum czytelniczy... ludzie, którym Błok towarzyszył przez długie, długie lata, od ich wczesnej młodości, kiedy wyrywano sobie te wiersze, jeszcze nie drukowane, w ręcznych odpisach, kiedy dzielono się niemi jak opłatkiem w dzień wielkiego święta, i potem, gdy były dla nich jak sygnały w ciemną noc upiorów, i potem, gdy w czasach wielkich burz, kataklizmów, przemian, w najcięższych chwilach rozpaczy odnajdowali je w sobie zbłąkani, bezdomni, powtarzali napamięć jak słowa anielskiej modlitwy, więcej niż modlitwy! bo tracili wiarę, bluźnili w rozterce wszystkim swym dawnym świętościom i tylko Jego słowa zawsze, zawsze, zawsze świeciły tem samem równem światłem — jak wysoko wzniesiona monstrancja.

Iluż ich było, tych — opętanych? i czemże on był dla nich? W czarną noc upiorów mówił im, poczętym i zrodzonym w nocy, o gwiazdach, słońcu, kwiatach — i wierzyli i było im jasno. W głuchą noc rozpaczy opowiadał rzeczy niedowiary: że świat jest piękny, życie jest dobre i szczęście nie jest kłamstwem — i wierzyli, wierzyli chociaż, gdy słyszeli głos jego. I zapragnęli ujrzeć ten świat, poznać to życie, posiąść to szczęście. Wtedy uczył ich męstwa i wytrwania. I walki wręcz (innej nie znał) — walki z najgroźniejszym wrogiem: z samym sobą. Lecz on był Łabędź Niepokalany i Gwiazda płonęła mu nad głową, więc nie mógł uwodzić, kusić i musiał iść najtrudniejszą z dróg. Więc zbroił ich, umacniał od wewnątrz. Nie mówił słodko: „jutro“ — mówił surowo i gorzko: „dzisiaj“. Opowiadał o życiu rozpacznem, o hańbie ich poniewierki, o krwawiących ranach, nikczemnych radościach, chorej, cygańskiej miłości. O zgrozie dymiących zachodów, głuchej nocy nad światem, beznadziejności mrocznych poranków, szarzyźnie oślizgłych, brudnych dni... Tak ich wyrywał z martwego nieistnienia, zabraniał sprzeniewierzać się z tem, co ich powoli otacza, otacza mgłą zobojętnienia, wsysa w otchłań acedji, sprawiał, że znów uciekał im z powiek słodki, przymilny sen, znów szeroko rozwartemi oczyma widzieli ciemność, znów doznawali zgrozy śmiertelnych zachodów, znów dzwoniła im w uszach głucha pustka nocy, dusiła za gardło nikczemność codziennego dnia, hańba bolała, paliły rany, mierziły żałośne ich uciechy i znowu wyła, wyła w nich tęsknota... Tak ich wracał życiu. Tak ich umacniał — od wewnątrz.

A ilu ich było, tych opętanych — sto tysięcy? stu tylko?

Błok czyta wiersze... — szli słuchać głodni nieraz, wynędzniali, obdarci, po brzegi wypełniali najobszerniejsze sale, stawali w przejściach, zwartym tłumem tłoczyli się przed mównicą, wdrapywali się na parapety, zamierali, zaczarowani, wsłuchani... Wielkim tłumem szedł słuchać Błoka Petersburg, Moskwa...

Do Moskwy pojechał w maju — pachniała czeremcha, była cicha, wiosenna pełnia. Głośniej i głośniej było o nieszczęściach Błoka, o jego chorobie, biedzie. Różni, różni ludzie biegli na ratunek. Zgłosiło się wydawnictwo państwowe, któryś z teatrów zadatkował wystawienie sztuki, nasprowadzano lekarzy — zbiegli się ludzie z poradą, pomocą... A w Petersburgu, jakoś na drugi dzień po wyjeździe Błoka przyniesiono z poczty dużą, pękatą kopertę; pani Liubow' Dmitrjewna spojrzała na adres: pismo obce, niedołężne, nieumiejętne. — Znów widać jakiś grafoman z prośbą o ocenę... — pomyślała i rzuciła list na biurko męża. W Moskwie kwitła czeremcha.

Któregoś wieczoru wypadło mu występować w dwu miejscach — droga była niedaleka i korzystając z pięknej pogody Błok z pierwszego zebrania poszedł pieszo

1) Fragment z pracy o Aleksandrze Błoku. Por. „Sygnały“ nr. 27 i 30, „Skamander“, styczeń i październik 1937.

— tłum spostrzegł się, zawahał i zawrócił wślad. — Była cicha, pachnąca czeremchą majowa pełnia. Pustą, zalaną księżycem ulicą szedł Błok, niewidzący świata, blady bardzo. W oddali, w ogromnem milczeniu — tłum, zapatrzony w samotną sylwetkę. W symbol wszystkich, najwyższych skarbów, które nowym dziedzicom przekazuje odchodzące Wczoraj. A tam, w po brzegi wypełnionej sali, czeka już drugi tłum — poważny, skupiony, chciwy każdego słowa: jakby wiedział, że to już słowa — ostatnie. I jak nigdy jeszcze, czytał Błok po raz ostatni w życiu swe wiersze — powoli, śpiewnym, głębokim, cierpiącym głosem...

Do Petersburga wrócił już bardzo chory.

* * *

Błok obumierał powoli, w rozpaczy, w strasznej męce, w poczuciu rozpaczliwej pustki. Z zaciśniętemi ustami. Był za wielki, za dumny, za szlachetny, żeby tragedję swego życia rozmieniać na drobne grosze tragifarsy.

Emigrować nie chciał. Mówił, że tylko podlec i nikczemnik ucieka, opuszcza to, co mu najdroższe, skoro na jego ukochanie spada nieszczęście. Powtarzał często strofy poetki: słynny był wiersz Anny Achmatowej — odpowiedź emigrantom. Zawsze na zewnątrz niesłychanie opanowany, rzucał się, wpadał w gniew, gdy mu pokazywano emigracyjne pisma rosyjskie — brudne strumienie oszczerstwa i kalumnji, wylewane na tych, którzy nie opuścili swej skrwawionej ojczyzny, nie zaparli się, jak tamci, wszystkiego, co na tej ziemi wyrośnie, woleli zginąć marnie z głodu, z nędzy, choroby, niż ją odepchnąć i samym się stoczyć na dno upadku — w otchłań bezdenną jak nienawiść, czarną jak jad złości, beznadziejną jak melodja Wiertińskiego.

Nie, nie pójdę z nimi — serce mam bardzo chore i umrę już prędko... po długich strasznych męczarniach, po tygodniach nieprzytomności, ale trzy i cztery razy lepiej mi konać taką śmiercią, niż iść tamtą drogą niesławną... W chorobliwem podnieceniu nie zgodził się jechać nawet do Finlandji na kurację, zaleconą mu przez konsyljum; bał się najmniejszego pozoru. Żona płakała, prosiła — zgodził się... ale tylko na dwa miesiące, a ona jeszcze wcześniej wróci, jak mu się tylko trochę polepszy, wyszuka wygodne, obszerne mieszkanie i żeby koniecznie łazienka była... a na jesień sam wróci, zdrowy już..., akurat na premjerę... i poemat nareszcie dokończy, bo teraz to już trochę lepiej, robotą tak nie przeciążają... Nie wyjechał. Paszport ugrzązł w jakimś urzędzie. Wogóle było zapóźno.

Już właściwie od powrotu z Moskwy stan był rozpaczliwy. Na dworcu, zobaczywszy żonę, rozpłakał się żałośnie, bezradnie — przez całą drogę pani Liubow' Dmitrjewna musiała trzymać chorego w ramionach. w domu natychmiast ułożyli go do łóżka. Odtąd prawie nie wstawał, chyba żeby się przesiąść na fotel. bo nisko leżeć nie mógł, dusił się. W takiej właśnie półsiedzącej pozycji zmarł w cichy cierpniowy poranek.

W całem olbrzymiem mieście, powoli powracającem do życia, rozdzwoniły się gorączkowo telefony. Poszły telegramy, iskrówki do Moskwy, Kijowa, Kazania, Odesy, poszły zagranicę.

Przed domem zaczynali się gromadzić ludzie.

W struchlałem, żałobnem mieszkaniu, na starodawnem biurku poety leżała zapomniana pękata koperta.

Franciszek Siedlecki

* * *

Numer 38 „Sygnałów“ (z dnia 1 lutego) był w całości poświecony pamięci Andrzeja Struga: **Stefanja Sempołowska:** Andrzej Strug — **Mieczysław Niedziałkowski:** Dziejopis i poeta „Ludzi podziemnych“ — **Leon Kruczkowski:** * * * — **Ewelina Wróblewska:** Nieco wspomnień — **Władysław Gumplowicz:** — Wspomnienie — **Stefan Pomian:** Nurt Polski podziemnej — **Leon Pasternak:** Na zgon Andrzeja Struga — **Gen. Marjusz Zaruski:** Przemówienie na pogrzebie A. Struga dn. 11 grudnia 1937 r. — **Eleonora Diamandowa:** Wędrówki po Pirenejach z Andrzejem Strugiem — **Władysław Broniewski:** * * * — **Juljan Maliniak:** Ostatni Mohikanin — **Herminja Naglerowa:** Motyw pieniądza u Struga — **Halina Górska:** Człowiek samotny — **Jerzy Kamil Weintraub:** Mroczna elegja — **Jerzy Wyszomirski:** Na marginesie jednej noweli Struga — **Paweł Hulka-Laskowski:** Apokalipsa miljardów — **Stanisław Ryszard Dobrowolski:** O Andrzeju Strugu — **Bolesław Dudziński:** Andrzej Strug o kryzysie światowym — **Marjan Czuchnowski:** Pan i parobek — **Andrzej Strug:** Fragment z II-go tomu „Miljardów“ — **Jadwiga Markowska:** Człowiek-Pochodnia — **Stanisław Baczyński:** Godność człowieka — **Mieczysław Bibrowski:** My dożyjemy — **Adam Próchnik:** Wierna służba — **Marja Balsigerowa:** Rzecznik wolności — **Aura Wyleżyńska:** Misterjum pogrzebu — **Jerzy Pytlakowski:** Pogrzeb — Andrzej Strug. Korespondencja. 12 stron. 15 ilustracyj. Cena 50 gr.

MARJA KUNCEWICZOWA

DALSZY CIĄG ROZMOWY

Ci, którzy przychodzą na wywiady do pisarzy — jeżeli nie są reporterami brukowców, żądnymi odpowiedzi na pytanie: „Co pan albo pani myśli o miłości“, lub też „Co krokodyl jada na obiad“ — pragną zazwyczaj dwóch rzeczy: sekretów warsztatowych i wypowiedzi teoretycznych o literaturze. Pierwsze pragnienie daje się łatwo zaspokoić, o ile pisarz nie obawia się „uroku“ czy dekonspiracji. Gorzej bywa z teoretyzowaniem. Wywiadowca — najczęściej nieznajomy — przynosi ze sobą konspekcik, a w nim pełno zasadzek. Kontaktu między rozmawiającymi niema żadnego; ci panowie, te panie, czy ci państwo widzą się po raz pierwszy, nie znają swego słownika, ani swoich odruchów, przytem pisarz, jako ten zawodowo wrażliwszy, a zresztą napastowany — czuje się na gorącym kamieniu, improwizuje nerwowo na zadane tematy, z rozpaczą oczekując chwili, kiedy jego wyznania w katastrofalnym szoku zniszczą się wzajemnie. Trzeba również nadmienić, że wywiadowcami z gatunku inteligentnych są często młodzi krytycy, którzy wkraczają do domu pisarza, jak sędziowie śledczy do domu podsądnego, ażeby odebrać mu alibi, żeby go zaskoczyć i ogłosić z tryumfem: podsądny plątał się w zeznaniach.

Niemiło jest pisarzowi uchodzić za istotę z wieży, uwikłaną w tajemnicze jakieś procedery. Zresztą każdy może go widzieć biegającego po kawiarniach i za sprawunkami — jakaż tu tajemniczość. A jednak wizyty wywiadowców mają cechy obrządku i pisarz — rad nie rad — zasiada wówczas na trójnogu. Cóż może z tego wyniknąć? Oczywiście: mgławica, jak wszelkie wieszczenie. Pisarz beletrysta rzadko ma zdolności teoretyka, niesporo idą mu sądy krytyczne, „uogólnienia“, „sformułowania“, do których tak wielką wagę przywiązują młodzi sędziowie śledczy. Nieborak, cóż to produkuje ku zbudowaniu? Sekrety i impresje. Wywiadowca uchodzi z łupem. Streszcza, porządkuje, przystrzyga, rozjaśnia. Rezultat: czytelnik nie zawsze rozumie o co idzie. Charakter zwierzenia zanikł po drodze, zdania przemieszały się, poszczególne ogniwa odpadły — pozostał szyfr.

Wszystko, co wyżej napisałam, są to ogólnikowe uwagi, nie odnoszące się specjalnie do rozmowy ze mną, drukowanej w ostatniej kolumnie literackiej „Przemian“. Owszem, miałam tu do czynienia z sumiennym i bystrym wywiadowcą. Tem niemniej, ponieważ gawęda była długa, artykuł, który z niej wynikł — stosunkowo krótki, a przebieg wizyty nosił jednak ów wspomniany charakter zaskoczenia i improwizacji, chciałabym wyjaśnić to, co mnie samej w druku wydało się niejasne.

Cóż to znaczy, że „przymus tworzenia zastaje mnie *w pewnej sytuacji życiowej*“. Zdawałoby się, że póki życia, póty sytuacyj życiowych. Nawet drzemka jest sytuacją życiową, i trudno żeby jakikolwiek przymus nie zastał nas w sytuacji życiowej. Opuszczono tu zapewne w streszczeniu determinujące przymiotniki, chodziło mi nie o *pewną* sytuację życiową, tylko o sytuację *dramatyczną*, nasyconą osobistemi konfliktami, niewygodą prywatną, gospodarczą niemal klęską. Muszę wtedy „nie *zawsze wszystko* porządkować“, jak brzmi ustęp wywiadu, tylko *czasami* własny światopogląd, a raczej własne *samopoczucie*. Rezultatem tych porządków wewnętrznych stają się moje książki.

Druga niejasność: twierdzę rzekomo, że „odkrywczość psychologiczna jest bardzo ograniczona“ przez fakt istnienia znakomitych znawców człowieka w rodzaju Szekspira czy Dostojewskiego. W temże samem zdaniu stwierdzam, że „człowiek jest bardzo złożony“ i zaraz dalej że „istnieje tyle wersyj o człowieku, ile jest ludzi“. To wszystko razem brzmi niefortunnie. „Odkrywczość psychologiczna jest ograniczona“ nie przez fakt istnienia wielkich odkrywców, tylko przez małą prężność psychiczną ich następców, którzy — zamiast opisywać każdorazowego, jedynego, niepowtarzalnego w tym właśnie kształcie człowieka — powracają do prototypów, dają się sugerować gotowym formułom.

Tu, jako dygresja, nastręcza się zagadnienie typów. Upatruje się czasami przewagę wielkich pisarzy przeszłości nad współczesnymi beletrystami w tem, że tamci mistrze, nie bawiąc się w psychologizowanie, tworzyli typy, jakieś alchemiczne syntezy człowieczeństwa. Wygląda na to, że ich ludzie, to niemal abstrakcyjne formuły, tworzone drogą selekcji i wyrozumowanego doboru cech. Reprezentacyjne kukły w panopticum, czy też w panteonie ludzkości. Tymczasem doświadczenie kilkunastu lat pracy pisarskiej oraz obserwacja współczesnych zjawisk literackich wystarczy, by rozwiać mit o klasycznych „typach“. Za mojej pamięci ileż to postaci książkowych, zrazu uważanych za szczególne, prawie że zidentyfikowane z osobiście znanym wzorem — urosło do znaczenia typów! Nie łudźmy się: Romeo i Julja, to napewno także byli dobrzy znajomi swego autora, którego po staremu nazwijmy Szekspirem. Skąpiec Moliera z pewnością nie jest sumą przemyśleń, produktem filozofji, tylko portretem jegomościa, opatrzonego w dowód osobisty i w prywatny adres. W syntetyzującem i sublimującem działaniu czasu tkwi tajemnica typowości. I w temże działaniu czasu leży usprawiedliwienie niedyskrecji, reportażu, anegdoty, plotki. Miara zaś trwałości i znaczenia postaci, złapanej in flagranti, zamknięta jest w instynkcie pisarza, w jego talencie, w wyczuciu, *który* wątek, *które* znamię aktualnej rzeczywistości godne jest zatrzymania. Przyczem wskaźnikiem bywa zazwyczaj siła zjawiska, jego żywiołowa autentyczność. Są ludzie, są zdarzenia, obok których pisarz nie przejdzie spokojnie, mimo że są miljonowym z rzędu warjantem banału. Przez swoją dynamikę, przez swój wyraz szczególny ci ludzie i te zdarzenia przełamują formę, narzuconą im przez dawnych twórców, przez tych, którzy analogicznym zjawiskom nadali kiedyś kształt typizujący. A tak mutacja i odradzanie się typów trwa nieustannie.

Istotnie: tyle jest wersyj o człowieku, ile ludzi. I nietylko niepowtarzalność każdorazowego układu życiowego jest tego przyczyną, nietylko fatalna płynność czasu, mnogość gatunków, odmian, kolosalny obszar tworzywa, ale i niesłychana wieloznaczność słowa. Niema wśród autorów wspólnego mianownika dla barwy, dla dźwięku, niema zwłaszcza uczucia, któreby w doznaniu dwojga ludzi miało identyczny przebieg. To wszystko jest kwestją wyrazu, fantastyki i dowolności słowa. Dowolności, która jest źródłem zarówno nonsensu, jak poezji. Fakt inaczej nazwany staje się *innym* faktem, psychika, opowiedziana innemi słowami, jest już *inną* psychiką. Wobec takiego bezmiaru możliwości jakże można mówić o ograniczonym zasięgu powieści psychologicznej? Nietylko „dużo jest jeszcze do zrobienia“. Wszystko jest tu zawsze do zrobienia. Bo ani człowiek, ani czas nie mają dna, skoro żyjemy w niewiadomym świecie.

W którymś z wywiadów powiedziałam, że dogadać się można z każdym do korzenia, że ludzie podobni są do siebie obsesjonalnie i wszyscy krewni sobie. Na przestrzeni miesiąca z najgłębszego przekonania wygłaszam takie dwa zdania: „niema uczucia, któreby w doznaniu dwojga ludzi miało identyczny przebieg“. I „ludzie podobni są do siebie obsesjonalnie“. Jak to ze sobą pogodzić? Przez sprowadzenie obu tych zdań na drogę fantastyki słowa. Słowo człowiek posiada tysiąc znaczeń. Człowiek — to gatunek. I człowiek: to dziwaczna, do niczego podobnego niepodobna jednostka. Człowiek — to los, niewzruszalna formuła istnienia, a jednocześnie przygoda nieprawdopodobna, wybryk jedyny, przepadły nazawsze, jeśli niezauważony przez drugiego człowieka. Więc owszem: i jedno i drugie jest prawdą, o ile cokolwiek wogóle jest prawdą. Ludzie *są* do siebie obsesjonalnie podobni, *mimo że* niema uczucia, któreby w doznaniu dwojga ludzi miało przebieg podobny. W granicach tego „mimo“ myślę, że pomieszczą się długie wieki powieści psychologicznej.

Idę dalej za tokiem wywiadu. „Dostojewski miał też chyba poprzedników, którzy zaprezentowali mu świat *chaotyczny*, nie było to jego odkrycie“. Przyznam się, że nie rozumiem, jakieś ogniwo musiało tu odpaść, sama je połknęłam w podnieceniu rozmową, albo przepadło w streszczaniu. Domyślam się przecież, o co chodzi. O świeżość wizji świata. O to, że genjalny wizjoner Dostojewski potrafił stworzyć świat nanowo, wyprowadzić go z chaosu egzegez, niezrażony cyklami twórczemi niezliczonych stwórców, zdobył się na nowych dni sześć, a w siódmym odpoczął. Istotnie, nikt nie jest nowy i to wielka szansa dla nowatorów: przekreślić starą nowość dla nowej.

Teraz skolei złośliwość pod adresem zecera: Gombrowicz zobaczył świat w pierwszej chwili nie „swego“, lecz *jego* narodzenia. Tak fenomenalny Gombrowicz jednak nie jest, żeby pierwszem łyśnięciem niemowlęcego oka już ogarniać rzeczywistość. Raczej może udało mu się, jak każdemu rzetelnemu artyście, w którejś tam chwili dojrzewania mieć błysk jasnowidztwa i wtedy pochwycić przeraźliwy, nagi, olśniewający kształt świata, zdeformowany zazwyczaj, zgaszony przez użycie.

I wcale nie buntuję się przeciwko kolekcjonowaniu przez Gombrowicza „destruktów i form niedokształconych kultury“, co wynika z wywiadu. Cała waga mego sprzeciwu leży w tem, że nie wystarcza mi taki aspekt dzieciństwa. Brak mi w pilnem studjum Gombrowicza o niedojrzałości — zrozumienia dla naiwizmu, dla dziecinnady świętej, która dojrzałym ludziom pozwala przetrwać życie. Brakuje mi w Gombrowiczowskim obrazie świętego Franciszka. Właśnie dziecinną intuicję świętego uważam za ową „nadświadomość“, sól niezbędną, żeby smak świata był do strawienia dla grzesznych.

Ostatnie uzupełnienie. „Mówią, że pisarze Polski niewolnej służyli idei. Nie. Byli raczej pod naciskiem sprawy, której nie załatwiono przez sto lat. Strug nie walczył o żadną sprawę, walczył o siebie“. Takie jest jedno z końcowych moich zdań wywiadu. Znowu niekompletne. Pod naciskiem *jakiej* sprawy? Może politycznej? Moje przekonanie jest inne: byli pod naciskiem *własnej* sprawy. Wolność narodu, to dla artystów nie był program, to nie była idea. To była osobista potrzeba. Dusili się, mieli złe samopoczucie w niewoli — to stanowiło prywatną klęskę, cierń w każdym dniu powszednim. Póki go nie wyrwali, nie mogli o niczem innem myśleć. Znowu rozwiewa się mit, tym razem o ideowym pisarzu. Prawdziwy pisarz zawsze pisze siebie, nie jest delegatem, misjonarzem, jest człowiekiem, który wyżywa się, pisząc. Pisze tak, jak inni płaczą, albo śpiewają. Jeżeli złem, które mu dokucza jest sprawa publiczna, staje się szermierzem sprawy publicznej. I jedynie za cenę szczerości — szermierzem skutecznym. Jeżeli nacisk sprawy publicznej słabnie, tak jak u nas — niedawno — zelżał ucisk zawisłości politycznej, pisarze dotkliwiej zaczynają odczuwać dramat indywidualnego bytu. I tu wszakże szerokie zostaje miejsce dla społeczników. Dla społeczników, t. zn. nie dla agitatorów i doktrynerów, tylko dla ludzi, którzy ów dramat indywidualny odczuwają boleśniej, gdy się on potęguje przez krzywdę grupy, warstwy, czy też klasy.

To wszystko jeśli chodzi o margines wywiadu.

A na koniec wrócę do punktu wyjścia rozmowy z „Przemianami“. Wyrażono tam na wstępie zastrzeżenia co do powieści psychologicznej, poprostu wątpiono o jej racji bytu. Czy nie jest to skutek nieporozumienia? Czy nie zachodzi wypadek mimowolnej metaforyzacji według wzoru pars pro toto. To, co obecnie utarło się nazywać powieścią psychologiczną, nie wyczerpuje całości zjawiska, raczej je deformuje. Odkąd Freud zaopatrzył w efektowne etykiety swoje perspektywy na podświadomość, odkąd nowemi nazwami powiązał w kompleksy różne bardzo stare zespoły uczuć — pisarze, znęceni magiczną atmosferą naukowości, zaczęli częstokroć traktować swoją pracę literacką, jako trud preparatorów laboratoryjnych, czy chirurgów. W rezultacie maskarady powstał gatunek powieści ubogiej, jak preparat. Wyjałowionej z tła, z obyczajowości, ze wszystkiego, co nie jest włóknem, nerwem, czy ...obsesją. Ludzie tych książek trwają oderwani od czasu i miejsca, pod kloszem psychoanalizy, wypompowanym z powietrza. Jeżeli autor ma talent, potrafi i z takiej nikłej treści uczynić pieśń, tem bardziej przejmującą, że monotonną. Wąskość terenu zmusza do pójścia wgłąb — czasami wynikają rewelacje. Droga to jednak niebezpieczna. Powieść psychologiczna nie powinna być domeną preparatorów, czy manjaków. To powinien być teatr duszy. Widowisko wszechstronne, dramatyczne, nasycone realjami, rozegrane w atmosferze pełnej bakteryj, które niosą ze sobą epoki i środowiska. Człowiek musi się tu pokazać cały, ze swoją powierzchnią, nietylko ze swojem wnętrzem. Z całą irracjonalnością historji, nietylko z szematem fizjologji.

A dlaczego powieść tak wielopłaszczyznowa ma się nazywać psychologiczna? Dlatego, że zagadnieniem autora będzie nie los gatunkowy człowieka, tylko los indywidualny. Nie owa wieczna formuła istnienia, ów wspólny wszystkim korzeń, niesamowite powinowactwo — tylko przygoda, wybryk jedyny i niepowtarzalny: los jednostki — los duszy.

Przed tak pojętą powieścią psychologiczną nie widzę rychłego kresu.

IZABELLA PAWLUCIÓWNA

BRAT

Orzechy, orzechy opalają się w sierpniu!
I na wędki wyrostków
srebro ryb się nawleka,
mały.
A niedosyt dzieciństwa we wspomnieniach [ocali
garść czereśni,
którą gdzieś dostałeś.

Zaciskają białe gołębie
pętle lotów na kasztanach
i ostatni raz umówiona
żab orkiestra wybucha na błotach.
Jak czarne korale
w oknach
nawisły jaskółek świergoty.

Chłopcy srebrnej piłki księżyca
szukają jeszcze w trawie.
Psy językami z ognia
wieczorem liżą po rękach —
Mały zgarnia pod rzęsy
dni,
których potem nie potrafi
przekląć.

CZŁOWIEK

Nie mógł, jak wilka, oswoić niepokoju
i darmo twarz ocierał z cieniów krat.
Wybiegał
gdy jak więzień z sąsiedniej celi,
stukał mu w ściany
wiatr.

Pod gałęziami wichrów obierał noclegi
by gromy burz
zorały w nim odłogi
i jakby bojąc się śladów niezawianych
schodził
z każdej makami obrosłej drogi.

JAN KAROL WENDE

DROGA POEZJI POLSKIEJ

1

Pisząc niedawno w „Czarno na białem" o „sterylizacji ideowej" pewnego odłamu literatury, wspomniałem także pobieżnie i o poezji, tej młodej poezji polskiej, która grzęźnie systematycznie i z rozkoszą w nieobowiązującem bagienku pustej metaforyki i czczego werbalizmu.

Sprawa dróg rozwojowych młodej poezji, tych dziedziców Wielkości, marnotrawnie rozmieniających ogromną schedę na drobne okruszyny różnej „formalistyki" i wątpliwego nowatorstwa, jest zagadnieniem bardzo ważnem. Dziwić się tylko należy, że problem ten jest tak „pomacoszemu" traktowany przez całą niemal krytykę.

Słychać często głosy bezsilności i zniechęcenia: stara to już dyskusja akademicka miedzy zwolennikami liryki i epiki; wiek nasz jest wiekiem liryki. Dowód? Twórczość ostatnich paru lat...

A przecież dyskusja nie powinna już obecnie się toczyć w płaszczyźnie: **liryka czy epika.** Okazało się bowiem, że spór (naprawdę akademicki) został przez samo życie rozstrzygnięty. Prawdziwemu poecie nie wystarczają już teraz dość wąskie i nieruchome ramy ody, sonetu czy dytyrambu. Trudno też w historji wielkiej poezji znaleźć utwór, któryby był formalnie czysto narracyjny albo doskonale subjektywny.

Zagadnienie dróg rozwojowych polskiej poezji trzeba raczej omawiać pod kątem jej ożywienia, rozruszenia, zdynamizowania i uintensywnienia przedmiotowością narracyjną. Obecnie bowiem elementy epiki i liryki zdradzają wyraźne dążności do stopienia się w jakąś sytentyczną, bardziej doskonałą formę twórczą. „Inność" ta polega na ciągłem przeplataniu i uzupełnianiu się obu klasycznych form poetyki.

Oczywiście, możność operowania instrumentem, który powstał z nowego stopu, dostępny jest tym wyłącznie, którzy mają naprawdę coś do powiedzenia. Gdy dla jednych połączenie liryki i epiki staje się źródłem nowych natchnień, świeżych możliwości i bodźcem twórczym do pierwszorzędnych osiągnięć, dla innych będzie to terra incognita, szyfr nie do odcyfrowania.

I tu chyba jesteśmy u źródła powstania znanej zasłony dymnej, za którą kryją się t. zw. eksperymentatorzy; zaś eksperymentatorstwo to tak długo u poety trwa, jak długo wogóle pisze.

Krzywa rozwoju poezji Polski niepodległej — gdyby ktoś wykreślił — wyglądałaby wprawdzie bardzo ładnie, ale... tylko graficznie. Widzielibyśmy więc na początku prostą dążącą wciąż ku górze, by potem (około roku 1928) zacząć opadać, już tylko z małemi odchyleniami, wdół. Gdzie koniec?

Trzeba sobie powiedzieć: bujny rozkwit poezji w pierwszych latach niepodległości posiada dwa podłoża. Po pierwsze: w potężnej sile, która z nowoodzyskanej niepodległości emanowała na poetów (pękła „bania natchnienia"); i po drugie: w szerokim rezonansie społecznym.

Nie będę przeciwstawiał „skamandrytów" poetom „społecznym". „Wieża Babel" Słonimskiego działała niemniej silnie od „Nike" Broniewskiego, poematy Wierzyńskiego czy Tuwima były tak samo mocne w wyrazie i uczuciu, jak wiersze Wandurskiego. (Sprawa „polityki" poszczególnych twórców jest w tym wypadku nieistotna). Faktem jest, że nabój uczuciowy, w ówczesnej poezji zawarty, był siły nieprzeciętnie wielkiej i daremne byłoby, niestety, szukać dzisiaj jego odpowiednika.

Skończył się romantyzm walki i przebrzmiał łabędzi śpiew poezji.

Czyż można jednak pogodzić się tak łatwo z tym stanem rzeczy, jak to czyni wielu krytyków i poetów? Gdy niepodległość nasza ugruntowała się, stała się powszednością, „sięgnęła bruku" (jak mówi Pomirowski), czyż zabrakło poezji polskiej głębszego oddechu do wyższego lotu? A ta nasza „powszedniość"... Daleko jej przecież do ideałów, wyśpiewanych przez Mickiewicza i Słowackiego, czy też później przez innych.

Nastąpił smutny okres przesytu i zniecierpliwienia. U jednych — spokój laurowy, u drugich — milczące zniechęcenie. A na opróżniony ring wkroczyli hałaśliwie zarozumiali pigmeje duchowi, mówiący w dodatku językiem buszmenów.

Czytając wiersze tych wciąż młodych producentów „stylizowanej", jak Szukalski, liryki awangardowej, słuchając wypowiedzi tych — jak ich ktoś nazwał — „ekshibicjonistów własnej pustki", trudno oprzeć się wrażeniu, że upadek poezji polskiej jest procesem nieuniknionym. Epigoni patrzą wprawdzie na to smutnie, ale bez łez. Dziedzice? Ci zerkają dumnie na własne kalectwo: naprzód wiara!

2

Spokój, rezygnacja?

Nie. Wydaje mi się, że okres kilka lat trwającego marazmu w poezji osiągnął już punkt „szczytowy". Mija, czy minął już kryzys.

Dwie pokaźne pozycje poetyckie ostatnich lat — Dobrowolski i Szenwald — pozwalają przypuszczać, że młoda poezja odnalazła wreszcie swoją prawdziwą drogę twórczą, po której wytrwale krocząc, osiągnie rezultaty pierwszorzędne.

Na tle wspomnianej wyżej — ograniczonej twórczości „awangardystycznych liryków", nie mogących w żaden sposób „wykaraskać" się z impasu napuszonego subjektywizmu, czyniącego już często wrażenie autosatyry, jakże ożywczo brzmią wiersze „Sceny przy strumieniu" Szenwalda, jakże silnym i odurzającym prądem prawdziwej poezji uderza w nas „halny", wiejący ze strof „Janosika" Dobrowolskiego.

Okazuje się nagle, że można mieć co powiedzieć i... też być poetą; można tworzyć poezję w pełni epicką, a jednocześnie nic nie uronić z piękna liryki, operując nią o „całą poezję" lepiej od t. zw. specjalistów lirycznych. Okazuje się, że stapiając oba klasyczne elementy rzemiosła poetyckiego w jedno, można stworzyć dzieła, które napewno zajmą poczesne miejsce wśród strof wielkiej poezji polskiej.

3

Mity harnasiowe, tak stare chyba jak lud góralski, fantazje zbójnickie, żyjące w legendzie i pieśni górali, i przez nich z biegiem czasu coraz intensywniej udramatyzowane i skoloryzowane, nie miały jakoś szczęścia do literatury polskiej. Jedynie Tetmajer potraktował temat szerzej, ale i u niego „legendy zbójnickie" wypadły niemniej stylizowanie niż tematycznie analogiczne impresje malarskie Stryjeńskiej.

Przyczyna tego tkwi chyba przedewszystkiem w braku autentycznych źródeł historycznych; nie mniejszą rolę odgrywa też i „urzeczenie" kolorystyką i fantazją w legendach, którym trudno artyście się oprzeć.

Dobrowolski był ambitniejszy w pomyśle. Nie dał nam wierszowanej historji (jednej z tysiąca), bardzo zachwycającego, ale i bardzo nieprawdziwego życia klasycznego „zbójnika". Szukał wiarygodnych źródeł legendy i „znalazł" na Orawie górala Janosika, skazanego na początku XVIII wieku na wbicie na hak za to, ...„że drwiąc głośno z praw cesarskich, przeciwiąc się boskim, łupił dwory i miasteczka, stolice i wioski"...

Czyli — autentyzm. Ale ambicją poety było jeszcze „użyciowienie" Janosika. Więc z jednej strony, odbronzowienie pięknego, ale nieprawdziwego mitu o zbójniku szlachetnym, co to „bogatym zabiera, a biednym daje", z drugiej — udramatyzowanie postaci, t. zn. nadanie jej działalności rumieńców przyczynowości psychosocjalnej.

Dobrowolski mówi we wstępie: „inaczej huczy staroświecka pieśń" o Janosiku, inaczej też „bredzi ona w uszy warszawskich okien" —

„I szepce w ucho ten sam śpiew,
[co wzrósł
pośród Powiśla ulic — i zawodzi,
i leje szum potoków z wielkich ust,
i słyszę, com już słyszał w bru-
[kach Łodzi".

Na podstawie powyższego czterowiersza widzimy, że Dobrowolski podszedł do tematu poważnie i z innej, nowej zgoła strony. Zrozumiałe więc, że nie wystarczy poecie wyliczanie dobrych czy złych uczynków bohatera. Toteż psychologiczne i socjalne umotywowanie podłoża działalności Janosika zajmie w poemacie miejsce należne.

Janosik nie zjawia się jak deus ex machina. Rośnie on na nieprzyjaznej, skalistej glebie podgórskiej, zamłodu nasiąka goryczą krzywdy najbliższych, widzi nieludzki stosunek grafów i żupanów do swoich braci i już jako chłopak pomyśli: „ej, nie będzie rąk urabiał Janosik za panków"... A później,

„tarchowiańscy śmigli chłopcy
[pierwsi w pole wyszli.
Idą zemstę brać na panach, a Ja-
[nosik — wśród nich".

Ale prawdziwa Janosika droga życiowa, jak droga każdego żywego człowieka, nie przebiega prosto. Między jednym „zbójnickim skokiem" a drugim bywają załamania, zniechęcenie, nawet zdrady. Dobrowolski z doskonałem wyczuciem, unikając uproszczeń, pokazuje nam (brak przekonywającej motywacji!),. jak „Juro za cesarski kabat zdradził towarzyszy".

I tak toczą się zmienne, urocze i frapujące koleje awanturniczego losu prawdziwego harnasia orawskiego. Już w służbie cesarskiej będąc, schodzi się ze słynnym zbójnikiem Uhorczikiem, by po jakimś czasie stanąć na czele bandy rabusiów i wreszcie zostać pojmanym.

Zadaniem artysty było udostępnienie czytelnikowi wszystkich wypraw, często krwawych i „objektywnie" odrazę budzących czynów Janosika. I tu leży jedna z zasług poety.

Przechodząc do zagadnień formalnych, trzeba stwierdzić, że obrazowanie Dobrowolskiego — przy całej kunsztowności budowy wiersza — jest proste, realistyczne; język jędrny, góralski — niestylizowany; mimo, że wszystkie prawie sceny poematu owiane są, jak późną jesienią księżyc w Tatrach, lekką, romantyczną mgiełką, obrazy nigdy nie tracą swej ostrości. A umiejętność odpowiedniego dawkowania kontrastów, daje doskonałe efekty.

Wyjątkową sugestywność posiada scena walki Janosika z niedźwiedziem. Przy najwyższej oszczędności słownej potrafił poeta odtworzyć cały urok górskiego boru: jego muzyki, koloru, zapachu; jednem celnem zdaniem zdołał wywołać nastrój odurzającej ciszy lipcowej, wśród której rozgrywa się walka.

Posłuchajmy:

„drepcze kudłacz wyżnią percią,
[łbem kosmatym chwiejąc,
wciąga w chrapy miodny oddech,
[ślepia mu się śmieją.
U potoku za Tarchową w poziom-
[kowych chrabstwach
miękko w leśnej, rośnej gęstwie
[rad zanurzył łapska,
haj! unurzał się, wytarzał, odu-
[rzył — i leży,
liże kudły umazane sokiem mło-
[dych jeżyn"...

a już po chwili piękny kontrast: ostra, głośna, zawadjacka walka harnasiów z parobczakami grafa.

Narasta, rozszerza się legenda o „prawym zbójniku, co równa ludzi"; ciągnie po halach, rozbrzmiewa przy ogniskach, w szałasach pastuszych, słychać ją w wieczornym śpiewie sennych smreków i w szumie górskich strumieni. Ale on sam, Janosik, nie bardzo jest z sławy tej zadowolony... Marzy o innej przyszłości — o sławie wodza krzywdy chłopskiej...

Do najmocniejszych strof w poemacie należy scena wesela w zagrodzie zbójnika Uhorczika i opis gry gęślarza.

Woła Janosik: „Posłuchaj, Krutnica! Ty mi zagraj taką nutę", aby „ją posłyszeli chłopi w izbach niskich", by „gniew był w śpiewie" i by „od niego rozruch poszedł — jak drzewiej, jak drzewiej..."

„Stuknął zbójnik w śpiewne drew-
[no — gęśle głucho jękły,
wyciął smukłym smykiem w stru-
[ny — kapelą oddźwiękły,
zahuczały w kruchej jedli trombi-
[ty i basy,
wraz się echem odezwały staro-
[świeckie czasy.
Siecze nuta po złupockach, tnie
[deszczem nawalnym,
dudni ziemia pod nogami sielnym
[chłopom halnym,
ciągną gibcy ludzie z Rusi, ze Spi-
[sza z Luptowa,
wolni smolni drwale leśni hań —
[zza Jabłonkowa,
z madziarskimi lascy chłopcy w
[równym walą glidzie,
a przed nimi towarzyszów zbór
[jak chmura idzie.
Szumi nuta niczem z wiosny po-
[tok dolinami:
EJ, PANOWIE, NIE BEDZIECIE
[PRZEWODZIĆ NAD NAMI!...

W muzyce słownej gry Krutnicy — jakież echa znanych melodyj słyszymy? To gra Wojski na rogu, to oczarował weselników Jankiel...

„Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała jan-
[czarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zela-
[mi, z bębenki"...
(„Pan Tadeusz").

Nie bawiąc się w „wpływologję", można jednak stwierdzić, że na strofy Janosika w dużej mierze zaważyła twórczość Wielkiego Adama, a duch całego poematu owiany jest czarem naszej poezji romantycznej. A to dużo.

Poeta, konsekwentny w swojej wizji artystycznej każe umierać Janosikowi z okrzykiem: „Hej, góry nase, góry!". To jest prawda. Jakże łatwo bowiem było przypisać Janosikowi efektowny okrzyk w rodzaju: „Ej, panowie nie bedziecie przewodzić nad nami!"...

Tą trafną poetycką pointe'ą Dobrowolski dowiódł, jak bardzo z uczuciem, a jednocześnie „dystansowo" i dojrzale tworzył, jak wczuł się w psychikę swego bohatera, nie pozwalając sobie ani przez chwilę unieść się fałszywemu patosowi.

Poemat wreszcie świadczy o tem, że Dobrowolski pomimo pasji odbronzowiania mitu, nie wpadł w szablon i w krańcowość drugą. Potrafił spod patyny legendy i nieprawdziwości wydobyć najistotniejsze rysy prawdziwe, ludzkie. Nie odrzuciwszy pięknych, tęczowych rekwizytów harnasiów, pokazał też zaciętego, mściwego i romantycznego górala.

Poemat jest klasycznym czternastozgłoskowcem. Melodyjność wiersza swoista, oryginalna, uparcie przypominająca dźwięki kobzy, jest jednak — właśnie jak tony kobzy — jednostajna. I to jest jedyny słaby punkt poematu. Szkoda, że autor nie przeplatał rytmu, pozwalając w ten sposób czytelnikowi od czasu do czasu odetchnąć i uważniej wsłuchać się w melodję podstawową. Całość napewnoby na tem zyskała.

Dobrowolski dowiódł swoim poematem, wyrosłym z gleby wielkiej poezji i w jej laboratorjach powstałym, że droga poezji polskiej prowadzi innym szlakiem, niż ten, który obrali sobie u nas t. zw. awangardziści.

Droga Dobrowolskiego prowadzi do osiągnięć nieprzeciętnych, tak w dziedzinie liryki, jak i epiki.

Lwowski poeta

Stanisław Rogowski. Wieczór oczekujących. Lwów, A. Krawczyński, 1938; str. 53 i 1 nl. Zł. 2.40.

Rogowski debjutował przed dwoma laty tomikiem p. t. „Panny leśne". Debjut był udany, Rogowski zaprezentował się jako poeta o nieskrystalizowanej jeszcze indywidualności pisarskiej, o talencie jednak świeżym i oryginalnym. „Panny leśne" kazały się wiele spodziewać po autorze.

„Wieczór oczekujących", zawierający dwa cykle utworów: „Sielanki" i „Strofy patetyczne", sprawił czytelnikom Rogowskiego rozczarowanie. Nie dlatego, by znać w nim było zniżenie lotu, dopalanie się talentu, ale dlatego, że twórczość poety poszła nieprzewidywanym torem.

Niektóre wiersze z „Panien leśnych" pozwalały się spodziewać, że przyszłe wypowiedzi autora zakrzepną w formie zrozumialszej, jaśniejszej, dostępnej wszystkim, że symbolika treści nie wyzbywając się piękna porzuci ramy rebusu.

„Wieczór oczekujących" rozwiał te złudzenia, Rogowski nietylko się nie zbliżył, ale nawet oddalił od czytelników, pozostał poetą trudnym, wymagającym dłuższego i bardzo bezpośredniego obcowania. Wiersze jego należy nietylko czytać, ale wchłaniać ich melodję, nastrój, mistykę — wtedy dopiero rozświetlą się całym ogromem wewnętrznego bogactwa, wtedy zabrzmią dźwiękiem bliskim, pojętym, jedynym. „Sielanki" obracają się dokoła jednego tematu: współistnienia przyrody i człowieka. Jedne z nich odsłaniają swój filozoficzny rdzeń (n. p. „Czaty", „Anioł niesie wodę"), w innych trudno szukać „treści", kołyszą nas melodyjną, klasyczną rytmiką. Kapitalnym przykładem jest „Wiersz o groźnej pogodzie"; zamknięty w muzyczny rytm obraz przyrody nie przemawia do nas kształtem, barwą, czy ruchem, lecz melodją słowa.

W „Strofach patetycznych" wypowiada Rogowski swój poetycki pogląd na świat. Zdawałoby się, że nad jego odcyfrowaniem potrzeba się długo mozolić. Nie! W poezji Rogowskiego niema przemyśleń, niema ciężaru myśli i zagadnień, niema intelektu, jest tylko ogromna mnogość uczucia i „zagęszczanie" nastroju, jest żywiołowe, barbarzyńskie natchnienie. Wiersz wybucha nagle i toczy się samowolnie, nim go autor zdoła powstrzymać wędzidłem słów, naprzekór prawidłom, przewidywaniom, chęci, ogarnia bezradnego poetę, gna i krystalizuje się w formie dziwacznej, nieprzewidzianej, pięknej.

„Głos ważył się, ważył i dojrzał.
Ledwie nuta — a prawie pożar,
ledwie szmer — a we mnie łomoce.
— — — — — — —
Opowiadam wam moje exodos".

„Wieczór oczekujących" nie daje i nie może nam dać pełnego obrazu poety, nie zamieścił w nim autor swoich najbardziej wartościowych wierszy z ostatnich dwu lat, ale nawet taki jaki jest, jest zjawiskiem godnem zapamiętania. Dużo jest w nim dziwactwa i łamigłówek, ale więcej szczerej i czystej poezji.

Mógł więc bez pozy i zakłamania w swej pięknej „Tęsknocie do wiersza" powiedzieć:

„Dawno leżysz we mnie wzorem utajonym muzyko wiersza".

Tadeusz Banaś

ZIEMIA W JARZMIE

Wanda Wasilewska. Ziemia w jarzmie. Powieść. Warszawa, „Rój", 1938; str. 305 i 11 nl. Zł. 6.—.

„Oblicze dnia", „Ojczyzna", „Ziemia w jarzmie", oto trzy stopnie, po których wspina się Wasilewska na wyżynę prawdziwej twórczości społecznej. Szczególniej dwie ostatnie, „chłopskie" książki łączy mocna więź wewnętrznej logiki, stanowią one jakoby całość. „Ojczyzna" to dzieje wsi polskiej pod zaborami i w czasie wojny. Autorka doprowadza je aż do chwili odrodzenia Polski, oddając klucz dręczących zagadnień w ręce wzrastającego pokolenia. „Ziemia w jarzmie" podejmuje dalszy ciąg tej ewolucji na drodze do ludowej „Ojczyzny". Nie zapominając o konieczności różniczkowania warstw socjalnych w łonie wsi, możemy śmiało nazwać małorolnych chłopów, Zacharczuków i Rudziuków z „Ziemi w jarzmie", spadkobiercami Krzysiaka, robotnika rolnego z „Ojczyzny"; chociaż Wasilewska w „Ojczyźnie" wielokrotnie podkreśla odrębność psychiki fornala i „gospodarza", to jednak ta odrębność w ciągu półwiecza straciła swój zasadniczy charakter, zaś w chwili obecnej zanika coraz bardziej, dzięki zbieżnym interesom i wspólnej walce całej biedoty wiejskiej.

„Ziemia w jarzmie" w dosłownem brzmieniu tytułu — to „złota, lazurowa, zielona ziemia nadbużańska" wydana na łup rabunkowej gospodarki chłopa i pana. Motorami tej gospodarki są bądź srogi głód chłopski i bezkresna nędza, unicestwiająca w zarodku wszelką planowość i myśl o jutrze, bądź bezgraniczna chciwość wielkiego posiadacza.

W symbolicznem znaczeniu — to „ludzie w jarzmie", którzy oddają ziemi wszystkie siły, przelewają w nią bez śladu pot i łzy, marzą o płodności, rozkwicie, wojują z nią beznadziejnie, bezskutecznie... To 25-letnie staruszki, pokolenia, duszące się i degenerujące coraz szybciej na swych karłowatych, coraz bardziej pomniejszanych wskutek podziału gospodarstwach, brat, który o plon z pół morgi podpala zagrodę brata... Ludzie w jarzmie paradoksalnych stosunków ekonomiczno-społecznych, gdzie dobra jednego dziedzica kilkakrotnie przewyższają łączny majątek kilku wsi.

Książka opiera się na pewnych autentycznych faktach, opisanych w prasie. Jednak nie ta konkretna autentyczność, ale dynamiczny realizm artystycznej wizji każe nam wierzyć, że przestępstwem byłoby zmienić w powieści najdrobniejszy szczegół. Jednocześnie rozumiemy z całą ostrością, że to nietylko historja istniejących gdzieś wsi, lecz epopea wsi wogóle, na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat.

Również bohaterowie książki, dwie zmagające się strony, uświadamiają sobie dokładnie, że ich walka jest wspólną walką miljonów. Chłopom, spoglądającym z nienawiścią na Ostrzeń, jak na gwóźdź, tkwiący w żywem ciele pól, podsuwa ta świadomość posępną decyzję „albo my albo on". W dziedzicu widok wrzynającego się w jego włości „wąskiego klina wsiowych zagonków" rozpala manjacką żądzę udowodnienia swej przewagi, pokazania, że drwi sobie z ich wołania o władzę i prawa, i że w imię tradycji nie ustąpi ani na krok, choć czuje, że wszystko wokół niego się kruszy, a on sam jest człowiekiem skończonym.

Nie odrazu doszło do tego potężnego kryzysu w konflikcie, który nasuwa nam nieodparcie analogję do rozmowy Pankracego z Henrykiem w „Nieboskiej komedji". Trzeba było morza chłopskich cierpień, od niepamiętnych pokoleń, od kołyski po grób, aby chłop wykroczył poza skorupę swej bierności i pokory. „Przysłowiowa chłopska nędza" wałkowana nieszczerze, nieraz wręcz obłudnie przez rozmaitych „kadzichłopów", w opisie Wasilewskiej nabiera właściwej, przerażającej wymowy. Obraz dziecka, wykradającego spod ryja chorej świni skorupkę cudownego, nieznanego napoju — mleka, obraz szkoły, „straszliwego panopticum wsi, od niepamiętnych czasów przymierającej głodem", nędzna wegetacja, która „rozsypuje się szarym piaskiem i skrapla krwawym potem", w ciemnocie, przesądach, wzajemnej zawiści, chorobach — to przesłanki starcia, którego nieuchronność wykazuje Wasilewska przez cały ciąg powieści. Z bezwzględną dokładnością, punkt po punkcie wskazuje, jak zaciska się żelazna obręcz na gardle wsi, szukającej kurczowo ratunku. Parcelacja, ułudny miraż zdobycia większego szmata ziemi, okazuje się zwykłem oszustwem, które pochłania ofiary z życia ludzkiego. A gdy zdarzy się jeszcze wypadek, choćby najdrobniejszy, przelotny grad, czy zaraza na świnie, wtedy sytuacja staje się beznadziejna, tem bardziej, że znikąd na pomoc liczyć nie można: dziedzic, to wróg jawny, a z miasta przychodzi samo zło — opłaty, podatki, skargi sądowe, groźny niszczycielski żywioł — sekwestrator, w najlepszym wypadku — odroczenie długów, których i tak nikt nie płaci, torebka cukierków dla dzieci, zamiast subsydjów na szkołę.

Wasilewska wskazuje, jak w sennym osiadłym ludzie wiejskim głód rodzi instynkt pierwotnego łowcy, wierzącego tylko w swe zęby i pazury. Pańskie są grzyby, pańskie jagody w lesie, pańskie drzewo i droga, a nawet boża woda — i ta jest pana własnością, nad którą czuwają gajowi, okrutni wrogowie, mający życie ludzkie za nic. Więc trzeba wyrwać, wychytrzyć z tej ziemi bogatej, której mogłoby się przecież być gospodarzem, ochłap nędzny do wyżycia. I jak pod zielonym kryształem powierzchni stawu pożerają się tysiącpostaciowe twory, tak i tu w ludzkiej dżungli, pod przeczystem niebem, wre nieustanna walka, w której chłopi, wobec przewagi fizycznej, którą daje bogactwo i sługa jego — terror, są zawsze stroną przegraną. Nic więc dziwnego, że gniew bezsilny rodzi akty zemsty i sabotażu.

Bohaterem powieści Wasilewskiej jest masa, bynajmniej nie wyidealizowana, pełna zaśniedziałości i konserwatyzmu etycznego — szczególniej kobiety. Razporaz wynurza się z tłumu, jakby oświetlony reflektorem, pojedynczy człowiek, którego autorka charakteryzuje błyskawicznem pociągnięciem pióra, i znowu roztapia w kolektywie. Być może dlatego postacie są mało zindywidualizowane, widzimy w nich tylko podstawowe, zasadnicze rysy typu. Jedynie Anna, symbol niepokoju, przedsiębiorczości jednostkowej, walki o szczęście indywidualne, Anna, która wpada w zastałą atmosferę wsi, niby zaczyn fermentu — jedynie ona jest pełnym człowiekiem.



Wanda Wasilewska

Czyż nie jest symboliczne, że ona, obca we wsi i prześladowana, pierwsza wyrusza do walki i ginie, dzieląc los najofiarniejszych jednostek?

Stopniowo, powoli, pod mikroskopem naszych czujnych oczu odbywają się przemiany w łonie wsi, jak fala przypływu narasta gniew wsi, jej solidarność i jej doświadczenie społeczne. Były niepomszczone chłosty - samosądy dziedzica nad chłopem, były morderstwa bezkarne gajowych, ale były i kamienie, rzucane ręką chłopskich dzieci na rodzącą na gościńcu Annę. To było wczoraj — a dziś już gniew wybucha, choć jałowo, spontanicznie, w ataku na gajówkę po zamordowaniu Zielińskiego; dziś już nietylko odruch współczucia, miłosierdzia, ale zorganizowana, twórcza pomoc dla pogorzelców, odepchniętych przez dziedzica, spaja ze sobą mieszkańców całej okolicy nadbużańskiej. Uświadomienie sobie roli gajowych, narzędzi w ręku dziedzica, roli księdza, nocne zbiorowe czytanie gazet, podczas którego nie z jakiejś zewnętrznej „agitacji wywrotowej", ale w męce najkrwawszej własnego doświadczenia wyłania się myśl-synteza, że to nie jeden pan z Ostrzenia, myśl-hasło „ziemi bez wykupu" — to słupy milowe na drodze do uświadomienia społecznego. W nawiasie trzeba powiedzieć, że czytelnik odczuwa brak zaakcentowania działalności na wsi znanych ugrupowań społecznych. Prawdopodobnie jednak jest to brak, niestety, celowy.

Czułym barometrem wobec rozgrywających się wydarzeń jest ewolucja duchowa nauczyciela, który na początku przypomina bohaterów Żeromskiego, teoretycznych przyjaciół ludu, bolejących nad jego cierpieniami i wzdrygających się wobec odrażającego zapachu nędzy, inteligentów, cierpiących chronicznie na nieumiejętność realizowania swych poglądów. Plączą się po wsi ze swą obcością i weltszmercem tak długo, dopóki wypadki toczą się normalnie. Gdy narasta niepokój i napięcie, igiełka magnetyczna zaczyna drgać, by wreszcie, w decydującym momencie kryzysu, uczynić gwałtowny zwrot bez zastrzeżeń w stronę ludu, potwierdzając tem starą prawdę o udziale inteligencji w ruchach masowych.

Życie w książce Wasilewskiej jest przemianą, dialektycznym procesem. Przyroda — nie jako dekoracja, ani odbicie czy symbol ludzkich nastrojów, jak to było nieraz nawet u Żeromskiego (sosna rozdarta) — występuje w żywiołowym patosie: padają olbrzymie lasy, przemienia się ziemia sama, wzrastają wybujałe w walce o życie nowe pędy, bujnym potokiem pieni się istnienie — wzrost, walka, płynność, twórczość. A na łonie przyrody ludzie, jej twory, jej eksploatatorzy i słudzy, żądzeni temi samemi co i ona prawami. Do szczególnie patetycznego zrośnięcia się ludzi z przyrodą dochodzi w czasie katastrofalnej suszy, która niesie śmierć głodową zwierzętom i ludziom, zatratę i bezpłodność roślinom. Ludzie głodni, zrozpaczeni, we wsiach, owianych martwą ciszą, krowy poruszające bezczynnie wargami, kłosy, przeżarte sporyszem, przedwcześnie opadłe żołędzie — to znamiona zbliżającej się z zawrotną szybkością katastrofy. I gdy w tak tragicznym momencie dziedzic zdobywa się na krok upiorny — odebranie wsi ostatniej żywicielki, strugi wodnej — bezpośrednie starcie dwóch światów wybucha nieuchronnie i stapia w łunie pożaru i zorzy wieczornej w posępne misterjum wszystkie sprzeczności życia.

Rozwiązanie akcji? Nie, to tylko etap tragiczny na drodze, na której końcu, po niewiadomych jeszcze perypetjach i zakrętach, wskazuje nam autorka, jak w perspektywie, sprawiedliwość społeczną, do której wzdycha ziemia w jarzmie.

Życie chłopów, konflikt wsi z dworem, to temat licznych powieści ostatniego okresu, których autorzy wyczuwają, jak zarysowuje się pod potężnem parciem mas skorupa zastarzałego feudalistycznego wyzysku. Co jednak wysuwa „Ziemię w jarzmie" na czoło tej twórczości, i sprawia, że Wasilewska w książce tej zdystansowała swe dotychczasowe dzieła, to mocny kościec ideologiczny bez rezonerstwa, potężna dynamika akcji, liryzm bez sentymentu, głęboka znajomość psychiki ludzkiej, a przedewszystkiem żelazna konsekwencja wydarzeń.

Marjan Bruzda

MICHAŁ SZULKIN

Siła i słabość powstania 1863 r.

W powodzi okolicznościowych artykułów historycznych o powstaniu styczniowem, którego 75-letnia rocznica była niedawno obchodzona, zarysowały się dosyć wyraźnie dwa sprzeczne poglądy. Jeden reprezentowany przez historyków konserwatywnych, podkreślający rolę szlachty i duchowieństwa w powstaniu, drugi zaś historyków socjalistycznych, którzy na podstawie drobnych, często należycie niesprawdzonych źródeł dojrzeli w powstaniu styczniowem „masowy udział robotników" i potraktowali to powstanie jako niemal powstanie „proletarjatu".

Błędne założenie w ocenie powstania styczniowego leży przedewszystkiem w nieuwzględnieniu skali porównawczej powszechnodziejowej oraz w niedostatecznem zanalizowaniu całokształtu stosunków społecznych na ziemiach zaboru rosyjskiego w pierwszej połowie wieku XIX oraz w latach 60-tych poprzedzających wybuch powstania. Jeden z przewódców powstania 1863 r., radykał i demokrata, pochodzący z rodziny zubożałej szlachty, generał Ludwik Mierosławski w swej broszurze wydanej w roku 1848 pod tytułem: „Débat entre la révolution et la contrrévolution en Pologne" wyliczył, że na 4.972.000 mieszkańców Polski właściwym trzonem narodu jest warstwa mieszczańska, złożona z około 1.250.000 ludności. W swych wywodach uzasadnił Mierosławski wniosek, że arystokracja i wyższe duchowieństwo są pod względem narodowym obojętne, chłopstwo zaś jest nieuświadomione narodowo wskutek pańszczyzny i długowiekowego uśpienia, natomiast drobna szlachta coraz liczniej emigrująca do miast i zasilająca zawody inteligenckie, wskutek zachodzących przemian gospodarczych, stała się w Polsce czemś w rodzaju stanu trzeciego.

Uważne i objektywne przestudjowanie dziejów powstania, szczególnie na podstawie ciekawych źródeł archiwalnych Wileńskiego Archiwum Państwowego, nadaje tym słowom Mierosławskiego wagi szczególnej. Przecież rola generała Mierosławskiego w latach poprzedzających powstanie 1863 roku była ogromna, wpływ wywierany na młode umysły olbrzymi. Umysły te odegrały szczególną rolę w dziejach powstania styczniowego. Nawet w niedawno wydanym tomie 1 „Pamiętników" Bolesława Limanowskiego znajdziemy ciekawe informacje o pozostawaniu nestora socjalizmu polskiego podczas pobytu w Paryżu pod przemożnym wpływem Mierosławskiego w latach przedpowstaniowych.

Siłą motoryczną powstania styczniowego była emigracja demokratyczna, która ideologję rewolucji i wyzwolenia narodowego czerpała z radykalizmu społecznego, z haseł rewolucji 1846 i 1848 roku. Ta wracająca po amnestji 1856 roku część emigracji tworzyła pierwsze ośrodki ruchu rewolucyjnego. Na czele jednego z tych komitetów stał Ignacy Chmieliński, następnie przewodniczący rządu wrześniowego. Poza nim do komitetu warszawskiego wchodzili urzędnik bankowy Wereszczyński i student uniwersytetu kijowskiego Głowacki. Dopiero w lipcu 1862 roku został Komitet Warszawski przekształcony przez Jarosława Dąbrowskiego w „Centralny Komitet Narodowy".

Spośród przewódców powstania styczniowego postać Jarosława Dąbrowskiego należy szczególnie uwzględnić, należał bowiem wraz z Konstantym Kalinowskim, Walerjanem Wróblewskim i innymi do tych, którzy najgłębiej rozumieli istotę walk rewolucyjnych. Konstanty Kalinowski był organizatorem w sierpniu 1862 roku Komitetu Prowincjonalnego w Wilnie i od samego początku wysunął na czoło działalności rewolucyjnej agitację wśród chłopów, redagując w języku białoruskim „Mużycką praudę" oraz „Hutorok dieda". Nietylko w czasie powstania był Kalinowski nieugiętym szermierzem haseł radykalnych i demokratycznych, nawet w czasie sądu zachował się bohatersko i według zgodnej relacji świadków, kiedy podczas odczytywania wyroku śmierci został nazwany szlachcicem, przerwał oświadczając: **„u nas niema szlachty i wszyscy są równi"**.

Dla należytego zrozumienia dziejów powstania 1863 roku należy podkreślić, że stan szlachecki był w owym okresie niezwykle zróżniczkowany. Zróżniczkowanie to istniało jeszcze nawet w dobie Polski Niepodległej, w wieku zaś XIX pod wpływem zachodzących przemian gospodarczych, duża część szlachty drobniejszej pozostała całkowicie bez ziemi i zmuszona była udać się do miast lub też objąć posady ekonomów, zarządzających i leśniczych w majątkach wielkich posiadaczy rolnych. Stąd też przedział między niewielką ilością obszarników a wielką ilością drobnej szlachty przeważnie bezrolnej i niezamożnej był bardzo istotny, skoro nawet specjalna uchwała z roku 1862 nakazywała „wszystkie osoby, należące do szlachty, lecz niezatwierdzone, przypisać od dnia 1 stycznia 1863 roku do stanu płacącego podatki" czyli do mieszczaństwa.

Stosunek do powstania wielkich obszarników był zdecydowanie negatywny, co zresztą nie pozostaje naogół tajemnicą historyków. Ciekawym dowodem jest przechowywany w Archiwum Państwowem w Wilnie list generał-gubernatora wileńskiego Nazimowa z dnia 28. XI. 1862 r. do ówczesnego rosyjskiego ministra spraw wewnętrznych. W liście tym czytamy: „Co się tyczy oskarżenia księcia Ogińskiego o dążenie jego do utrzymania poprzedniej nieograniczonej ziemiańskiej władzy nad chłopami, to przy obecnem, niepewnem położeniu w tutejszym kraju, znając oddanie księcia Ogińskiego rządowi (rosyjskiemu — przyp. aut.), oraz uwzględniając ogromną ilość należących do niego majątków w gubernji, nie znajduję w tem jego dążeniu żadnej szkody zarówno dla rządu jak i dla samych jego chłopów. Ta nieograniczona władza, używana jest przez niego nie do ujarzmiania chłopów, lecz do ugruntowania między nimi porządku i podtrzymania pożytecznej pracy". W raporcie rossieńskiego ziemskiego „isprawnika" z dn. 16. XII. 1862 r. do wileńskiego generał-gubernatora zostały sformułowane następujące ciekawe wnioski: „Rachuby stronnictwa ziemiańskiego w ostatnim czasie sparaliżowała partja demokratyczna swem wmieszaniem się. Ta ostatnia partja, przyjmując za podstawę swej działalności terroryzm i natychmiastowe uzbrojenie motłochu, w tych masach ludu widzi główną siłę, niewypróbowaną jeszcze w poprzednich powstaniach polskich wskutek braku wiary i obaw klasy uprzywilejowanej; to wszystko silnie zaniepokoiło ziemian spowodu ich kastowych interesów". W innym raporcie przesłanym gubernatorowi kowieńskiemu z dn. 6. III. 1863 roku podane są następujące wiadomości: „Ręczyć nie można w szczególności za powiat poniewieski, który wyróżnia się niepokojem spowodu dużej ilości młodych i małorolnych szlachciców. Tymczasem zaś wielu i to bardzo znakomitych ziemian, nie podzielających wywodów agitatorów, głosi, że oni niekiedy mimowoli mogą być wciągnięci do złego i zostaną poszkodowani zarówno sami jak i ich majątki, gdy w powiecie niema wojska i niema oparcia na wypadek nagłych działań ludzi zapalnych, i dlatego liczni ziemianie opuszczają wraz z rodzinami swoje majątki i wyjeżdżają do miast, do Wilna, Rygi i Mitawy".

Poza zubożałą, często bezrolną szlachtą, która według słów Mierosławskiego była w Polsce czemś w rodzaju stanu trzeciego, dużą rolę w dziejach powstania styczniowego odegrało niższe duchowieństwo, pochodzące przeważnie spośród chłopów lub

zubożałej szlachty. Duchowieństwo to było demokratyczne i w ciągu całego tego okresu należało do najaktywniejszych elementów. Szczególnie duchowieństwo na Podlasiu już w roku 1862 wypowiedziało się za reformami społecznemi „czerwonych“, poparło Komitet Centralny z Jarosławem Dąbrowskim na czele i całkowicie mu się podporządkowało. Ciekawe wynurzenia zawiera artykuł jednego z księży w nr. „Głosu kapłana polskiego“ z dnia 1 czerwca 1863 roku: „Duchowieństwo, zwłaszcza niższe, w Polsce ujarzmione i pozbawione nietylko w kraju, lecz i w samym kościele koniecznych praw i środków materjalnych. Rząd pomaga biskupom i prałatom i nawet buduje nowe pałace, zaś u plebana rabuje majątek. Zapytamy prof. Myszkowskiego margrabiego Gonzagi (Wielopolskiego) z zakresu prawa jak on określa własność, czy jak Proudhon — „własność jest kradzieżą“ czy też, jak nam się zdaje, że on „prześcignął“ tego głośnego wszędzie socjalistę i wysunął przeciwstawne określenie, że „kradzież jest to własność“... W dalszym ciągu artykułu ksiądz ów skarży się, że „biedny ksiądz nie ma prawa mówić o dziesięcinie lub o korzystaniu z lasu lub pastwiska, że on musi kłaniać się ziemiaństwu“. Inne pismo powstańcze „Dzwon duchowny“ w nr. 3 z dnia 21 lipca 1863 roku występuje przeciwko arystokracji, która nie chce w walce oprzeć się o lud i oczekuje pomocy z Zachodu i kończy: „Kto wyczekuje spokojnie angielskiej floty, armat z Sekwany i tureckich łuków, ten jest ofiarą oszustwa Czartoryskich. Nie wierz zagranicy, pięknym słowom modnej dyplomacji, która przyrzeka złote góry... *U tyranów niechaj wolność nie szuka pomocy*“.

Właściwym jednak rezerwuarem sił powstania 1863 roku mogli być chłopi, gdyby pomysły Jarosława Dąbrowskiego i Konstantego Kalinowskiego mogły się przyoblec w realne kształty. Objektywny świadek francuski Moller w swej książce zatytułowanej „Situation de la Pologne“ tak ocenia działalność Towarzystwa Rolniczego: „We wszystkich decyzjach Towarzystwa nie widać ze strony szlachty chęci dania chłopom rzeczywistej ulgi i wynagrodzić ich chociażby częściowo za wiekowe jarzmo“. Nie rozwiązała kwestji chłopskiej również uchwała Komitetu Centralnego ogłoszona 22 stycznia 1863 r., gdyż przyznała chłopom ziemię, dotychczas przez nich użytkowaną, która drogą wykupu lub dzierżawy mogła przejść do chłopów. Zrozumiał to dobrze pułkownik żandarmerji rosyjskiej Łosiew, który w swym raporcie z dnia 4 lutego 1863 r. do ministra spraw wewnętrznych pisał: „Jeżeli rząd chce utrzymać po swej stronie chłopów, to powinien natychmiast wykorzystać tę samą oręż, z której korzysta i rząd powstańczy, ogłosić co następuje: 1) całą ziemię, użytkowaną przez chłopów, oddaje się odrazu w całkowite, dziedziczne posiadanie; 2) ziemianie, nie tylko ci, którym będzie dowiedziony udział w buncie, lecz również i ci, którzy wyrażają swe sympatje do obecnego ruchu rewolucyjnego, poza innemi karami, tracą prawo do uzyskania od rządu wypłaty za ziemię, oddaną chłopom“. Organ Komitetu Centralnego „Ruch“ w nr. z dn. 10. VIII. 1862 r. oskarża szlachtę o egoizm stanowy, „o brak miłości do chłopów i złe sprawowanie w stosunku do nich“. W dalszym ciągu tego artykułu pisze autor: „Walka o niepodległość nie może być odłożona do chwili, gdy proces pokojowy przekształci chłopów w obywateli. Ta droga jest długa i zupełnie nieosiągalna przy rządzie rosyjskim. Rząd ten nie przestanie stale śledzić za politycznym rozwojem narodu i postara się zniszczyć to wszystko, co będzie zrobione pod względem rewolucyjnym. Sama powolność i stopniowość tego rozwoju dadzą rządowi możliwość i środki łatwego zniszczenia tego rewolucyjnego ducha“.

Klasa robotnicza, nieliczna podówczas w Polsce, ideologicznie i często pochodzeniem należała do drobnomieszczaństwa, biorącego żywy, bezpośredni udział w powstaniu. Trzeba wreszcie podkreślić duży stosunkowo udział mieszczaństwa żydowskiego w powstaniu, które wspierało rząd narodowy zarówno finansowo, ułatwiało i pośredniczyło przy dostarczaniu broni. Nawet na Litwie Żydzi wzięli udział w powstaniu, o czem świadczy nominacja rządu prowincjonalnego litewskiego, aptekarza kowieńskiego Szapiro na gubernjalnego naczelnika „żandarmów wieszających“. W oficjalnem sprawozdaniu rządu narodowego z 16 marca 1863 r. czytamy, że w bitwie niedaleko Warszawy w oddziałach powstańczych zginęło 90 Polaków i 9 Żydów. Nawet konserwatywny członek rządu narodowego Bentkowski w swych „Notatkach“ podaje, że „Żydzi uprzedzali nas o wszelkiem niebezpieczeństwie i chętnie udzielali mądrych rad“ (str. 103).

Powstanie 1863 roku było w swej istocie rewolucyjnym ruchem demokracji drobnomieszczańskiej. Według słów Fryderyka Engelsa „Polska dowiodła w roku 1863, że jej zniszczyć niesposób... Jej prawo do samodzielnego istnienia w rodzinie narodów europejskich nie ulega wątpliwości“.

Michał Szułkin

* * *

W związku z przekształceniem się na dwutygodnik „Sygnały“ rozszerzają dział recenzyjny i sprawozdawczy.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich. Dla orjentacji czytelników będziemy drukowali przy recenzjach ceny omawianych książek.

Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw nadsyłanych pod adresem redakcji „Sygnałów“.

NOWOŚCI LITERACKIE

Marja Ukniewska. Strachy. Przedmowa Marjana Hemara. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 357 i 3 nl. Zł. 8.—.

Znowu pojawiła się książka w typie twórczości Uniłowskiego, Worcella, Piaseckiego, autobiograficzna, o bystrej obserwacji, dobrym instynkcie lirycznym, opisująca środowisko niedostępne dla zawodowego literata, bo obserwowane od strony innego warsztatu pracy — tym razem girlsy w teatrze rewjowym.

Teresa Sikorzanka, szesnastoletnie dziecko proletarjackiej rodziny, z niewiernym spijaczonym ojcem, zahukaną matką, drobiazgiem nieletniego rodzeństwa, utrzymuje dom z pracy swych nóg, w atmosferze zepsucia pomieszanego z dziecinnadą, egoizmu i zawiści z heroizmem i głęboko odczutą solidarnością wobec losu drugiego człowieka, wśród histrjonów, kabotynów, ludzi prawdziwego talentu, przesądnych, głupców, fatalistów, nerwowo wyczerpanych bliskością rampy, światłem, chimeryczną publicznością. Sypią się rozkazy baletmistrza, dyrektora, inspicjenta, balletement, szpagat, nie palić, nie pić, na miejsca, kłótnie o szpongi, o majtki, o baletki, o kochanków, o ciastka, żałosna mieszanina łez, cukru, siusiek, westchnień i miłości.

Teresa zakochała się w aktorze o znanem nazwisku, widzi, że niema szans, by zwrócić na siebie jego uwagę, wreszcie przypadek rzuca ją w objęcia zgrymaszonego Modeckiego, o trudnym i powikłanym przeżyciami charakterze. On jest jej pierwszym. Nieporozumienie na tle wyrachowania, o które ją podejrzewa, rozdziela ich. Buda „Szalejący teatrzyk“ rozpada się, następują ciężkie dla Teresy miesiące w prowincjonalnym teatrzyku, z galerją świetnych typów tego środowiska z tancerzem Dubenką na czele. Nawiasem mówiąc, stary Dubenko, którego karjera i upadek, przypieczętowany irracjonalną, na tle obłędu, śmiercią, przypomina w ogólnej linji historję Niżyńskiego i jest w szczęśliwym skrócie literackim pierwszorzędną figurą nowelistyczną. Wogóle autorka celuje w tych oświetleniach błyskawicznych, doprowadzających do szybkiego skurczu w gardle spowodu wzruszenia. Taka jest właśnie sylwetka Linki. popełniającej samobójstwo naskutek nerwowej niewytrzymałości na ciosy losu: niewydarzona miłość, poronienie, obawa przed odpowiedzialnością wobec innego człowieka, który ją kocha. Jest dyskretna jak duch, lekka, przeprzywiązana do życia, zagadkowa. To są właśnie owe strachy Teresy, przesądnej, dobrej, niezbyt inteligentnej, o niezaprzeczonym wdzięku kobiecym, — strachy — duch koleżanki, nachodzący ją w snach. Za tem kryje się histerja, którą do katastrofy może sprowokować byle nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Ale wypadki obracają się ku lepszemu. Schodzi się znowu z Modeckim, dostaje engagement w pierwszorzędnym teatrzyku, ich pożycie przypomina coraz bardziej normalne stadło małżeńskie; urodziła dziecko. Modecki, dobroduszny w gruncie rzeczy, ale nerwowy jak narowisty koń, o ambicjach autorskich, bojaźliwy i brutalny, wyrachowany i hojny, zazdrosny i kochający spazmatycznie, to aktor z krwi i kości, przedmiot obserwacji przedni. Sama Teresa, od dziecinnej naiwności do materjalistycznego wyrachowania, od oddania w przyjaźni do niebezpiecznych skoków uporu i bezwzględności, kiedy jej szczęście jest zagrożone, stanowi prawdziwe, żadną fikcją niezastąpione, studjum własnego charakteru, przeprowadzone przez autorkę. Można jej pogratulować odwagi, szczerości. talentu.

Drobne zastrzeżenia można mieć co do poprawności polszczyzny Ukniewskiej, w tej książce zresztą na miejscu i pełnej uroku w zdrobnieniach i grymasach, gdyż powieść jest pisana bez dystansu od środowiska żywą mową drobnomieszczańskiego światka. Słuszności nie miałbym tylko wówczas, gdyby miało się okazać, że przybył literaturze znowu tylko jednorazowy fenomen obserwacji, osobistego, niezawodnie skreślonego życia, węchu w literackiej kompozycji, nie zaś artysta integralny.

Bruno Schulz. Sanatorjum pod klepsydrą. Ilustracje **autora.** Warszawa, „Rój“, 1938, str. 262 i 2 nl. Zł. 10.—.

Nowy tom opowiadań Schulza prowadzi dzieło podjęte w „Sklepach cynamonowych“ — dalej. Wysiłek autora, napięty na podsłuch wewnętrzny zdarzeń, idzie w kierunku logizacji rzeczywistości, wyczuwania intelektualnych, ponadrazowych i akcydentalnych smaków istnienia, wyciągania pierwiastków i formowania idei platońskich, czyli bytów samych w sobie — z uczuć kiedykolwiek doznawanych.

Nagromadziwszy taką porcję terminów i pewników, czuję się w obowiązku wytłumaczyć, co przez nie rozumiem. U podstaw twórczości Schulza, zupełnie niesłusznie przez krytykę przypieczętowanego irracjonalisty i metafizyka, stoi bowiem zagadnienie rozłamu między tęsknotą duszy, wyrywającej się ku Nieznanemu a formą pisarską, zracjonalizowaną w swych wersetach i skazaną na czarowanie abstrakcjami bez żadnej konkretyzacji. Schulz nie jest mistykiem, nie jest metafizykiem, jest fizjologistą i wrażeniowcem. Za światem jego książki nie stoi żadna prawda ani rzeczywistość transcedentalna, ani wyobrażenie idei moralnej, raczej odnosi się wrażenie, że świat ten powołuje do życia ciśnienie toksykalne mózgu w procesie czysto fizjologicznym. Ktoby jednak wziął te słowa za ocenę ujemną, myliłby się całkowicie. Zarzut wytoczyć można tylko taki, że autor pracując od wewnątrz, w zupełnej zgodzie ze swemi prawami ustrojowemi, nie dopracował się jednak planu etycznego ani wizji umysłowej świata, a można było, czego dowodem jest twórczość Franciszka Kafki, pisarza z tego samego klimatu psychicznego, o mniejszej wyobraźni plastycznej, ale o wyższej koncepcji życia.

Schulz logizuje rzeczywistość. Co to oznacza? Odpowiedź jest prosta. Sam autor jej udzieli — cytowany: str. 43 — „To zaimprowizowane obozowisko restauracyjne pod auspicjami dalekich gwiazd bankrutowało bez ratunku, załamywało się nędznie, nie mogąc sprostać rosnącym bez miary pretensjom nocy. Cóż mogliśmy przeciwstawić tym bezdennym pustkowiom? Noc przekreślała tę ludzką imprezę, której nadaremnie próbowały bronić skrzypce, zajmowała tę lukę, zaciągała swe gwiazdozbiory na odzyskane pozycje“. Operowanie pojęciami jest tutaj tak oczywiste i tak eliminuje wszelkie inne podejście do przedmiotu opisu, że nie ulega wątpliwości, iż mamy do czynienia z pracą intelektualisty, logika. Gdyby to był lekarz, nie pisarz, powiedzielibyśmy o nim, że zajmuje się nie chorym, lecz chorobami. A teraz inny wyjątek, wybrany na los szczęścia i bez trudu, gdyż od takich pozycyj w książce się roi (str. 163): „Tylko myśl, pozostawiona sobie, odkręcała się zwolna, zawiła anatomja mózgu odwijała się jak z kłębka i wśród zjadliwej dialektyki toczył się bez końca abstrakcyjny traktat nocy letniej, przekoziołkowywał się wśród logicznych łamańców z obu stron podtrzymywany przez niestrudzone i cierpliwe indagacje, sofistyczne pytania, na które nie było odpowiedzi. Tak przefilozofował się z trudem przez spekulatywne przestrzenie tej nocy i wchodził już bezcielesny w ostateczną głuszę“. Tutaj autor przypadkowo sam siebie definjuje przez analogję, praca jego myśli, grążącej się przez „noc do wypowiedzenia“, jest odbiciem jego całej „postawy twórczej do przeżycia w sztuce“.

A teraz, po zagadnieniach teoretycznych, przejdźmy do omówienia piękności tej książki — niewątpliwych i znacznych. Najlepsze opowiadania to — „Wiosna“ i tytułowe „Sanatorjum pod klepsydrą“. „Wiosna“, która „poprostu wzięła serjo swój tekst dosłowny“, jest suitą liryczną, o niezliczonych obrazach i aspektach, wyczarowaną ze znaczków pocztowych w kraju jakiejś Ameryki łacińskiej z Habsburgami, wśród zamachów i rewolucji, z dziewczynką Bianką pośrodku, trochę pochodną od proustowskiej Gilberty. Zresztą streszczanie tej orgji pretekstów poetyckich byłoby robotą próżną. Drugie opowiadanie jest osadzone w ramach bardziej konkretnych. Ojciec pisarza umarł, udało się dla niego zaledwie zarezerwować pewien rodzaj życia umownego, na niby, istnienia z konwencją. Syn go odwiedza w tym kraju z innego wymiaru w Sanatorjum Pod Klepsydrą. Jest to typowy Hades w wyobrażeniu starożytnych, utrzymany w różnych gradacjach szarości, zdjęty z kopersztychu; przytem odbicie niepewnych stosunków w tym świecie z przyzwoleniem na zgodę — czerpie już pełną ręką z nastrojów Fr. Kafki, taki jest jego Sąd w „Procesie“ i taki „Zamek“. W tymże „Zamku“ właśnie mamy następującą sytuację: u jego podnóża rozciąga się miasteczko, synonim całego kraju. Ktoś przybywa tu i chce się dostać do owego tronu władzy, zbiera informacje, jak należy w tym celu postąpić. Grzęźnie w umownych wykrętach, nikt właściwie nic nie wie, z pretensją śmiałka trzeba postępować jak w wypadku ugłaskiwania łagodnego szaleństwa. To jest też Hades Schulza: gdzie pocisnąć, ściany tego świata ustępują w co innego, panuje złośliwa igraszka snu, bez logicznych konsekwencyj. Takie wizje, przejmujące i piękne, czekają na podłożenie pod nie znaczenia, na wypracowanie pojęcia „to Ethos“, a wtedy nie będą się już gubić w rzeczach przypadkowych.

Marjan Promiński



WŚRÓD POETÓW

Mieczysław Jastrun. Strumień i milczenie. Warszawa, J. Mortkowicz, 1937; str. 71 i 1 nl.

Nowy zbiór wierszy Jastruna rozświeca diamentowa wprost czystość i płomienność liryzmu. Jastrun umie świetnie zobjektywizować i nazywać swoje wzruszenia, stąd klasę utworów autora „Innej młodości“ gwarantuje zawsze ekspresja na wysokim poziomie. Na dnie jego każdego prawie wiersza majaczy owo emocjonalne „coś“, wstrząsające samo w sobie, z którego poeta wywodzi i na którym konstytuuje ważność i urok własnego wyznania lirycznego. Jastrun w najtajniejszych zakątkach swych wierszy zdradza się jako jednostka wyposażona w psychikę niezmiernie wrażliwą, w której tkwią bolesne urazy pochodzące z odległych dni dzieciństwa („Młodość“, „Próby“, „Niewinność“). Ale wrażliwość ta nie dotyczy jedynie spraw z zamierzchłej epoki dzieciństwa, ona rozgałęziając się z biegiem życia obejmuje każdą jego fazę i narzuca jej swe piętno. Dojrzały już poeta w przejmujący sposób przeżywa bezpośrednio sam fakt własnego istnienia, które manifestuje się mu w swym dręczącym a niepojętym sensie i dlatego przeraża. To „przeżywanie“ nagiego istnienia odbywa się w „Strumieniu i milczeniu“ może już z mniejszą intensywnością psychiczną niż w „Spotkaniu w czasie“. U poety zaznacza się pewne uspokojenie, niekiedy tylko rozdarte nagłym powrotem lęku („Zdrada“). Problem istnienia własnej osobowości drążonej przez nieodwracalny czas wewnętrzny ustępuje miejsca melancholijnym zamyśleniom nad ulotnemi krajobrazami. Istota poezji Jastruna przejawia się w projekcji wielkich i szczerych stanów uczuciowych, związanych często z przypomnieniami, na przepływające zdarzenia świata zewnętrznego, a zamglenie i delikatność obrazów snujących się w tych strofach kulminują subtelny nastrój. W „Strumieniu i milczeniu“ wielokrotnie stykamy się z głęboko odczutemi i dlatego przedłożonemi z niesłychaną prostotą krajobrazami.

Jastrun jako poeta z kręgu „Skamandra“, niewątpliwie daleko bardziej samodzielny od innych, obciążony jest błędami całej grupy: stosowaniem i tolerancją motywów oraz ujęć nie tyle już passeistycznych, co wogóle nadużytych. Jest to niebezpieczeństwo wiszące nad wszystkimi klasykami bez względu na różnice, że żar ich wzruszenia może łatwo zgasnąć zduszony popiołem banalnych i bezsilnych dziś słów. Dlatego poeta niekiedy ratuje się sugestywną wizją, zwłaszcza we wierszach „malarskich“ („Rembrandt“), wnoszącą pewne świeże momenty wyobrażeniowe. Tam również zostaje przełamana abstrakcyjność poniekąd i niedookreśloność obrazów, występująca gdzieindziej.

Do pocztu wad zaliczyć trzeba: forsowanie deklamacji jakby publicystycznej, symbolikę bez należytej wymowy i fatalne nowotwory pojęciowe („emeryci marzenia“, „Antygona socjalizmu“). Wszystko to stanowczo razi, na szczęście w niewielu wypadkach.

W całym tomie możnaby wyróżnić conajmniej 20 wierszy o fascynującym artyzmie (m. inn.: wiersz wstępny, „Mitologja“, „Umarłe milczenie“). Ale są także znacznie słabsze (n. p.: „Łódź“, „Promień“), których eliminacja przyczyniłaby się do spotęgowania niezaprzeczonego piekna. jakie zawarte jest w „Strumieniu i milczeniu“.

Władysław Jaworski

* * *

W poprzednim (39) numerze „Sygnałów“ (z dnia 15 lutego): **André Malraux** (przełożyła **Ewa Brandt**): Nadzieja — **Jerzy Kamil Weintraub:** Wspomnienie o Georgu Traklu — **Georg Trakl** (przełożył **Jerzy Kamil Weintraub**): Pieśń Kaspara Hausera. Wzdłuż. Jesień samotna. Gródek — Przypomnienia. Odezwa Garibaldiego ogłoszona w lutym 1863 r. — **Jerzy Boreisza:** O Stefanie Czarnowskim — **Artur Bardach:** Twórczość naukowa Stefana Czarnowskiego — **Halina Krahelska:** Wspomnienia o Czarnowskim — **Sydonja Amarant:** W cieniu słonecznego zegara — **Ignacy Fik:** Awangarda i awangardziści — **Andrzej Drozd:** W czerwonej Hiszpanji — **Andrzej Drozd:** Katolicyzm społeczny — **Marja Fidererówna:** Rycerskie pióro — **Władysław Jaworski:** Nowości poetyckie — **Guillaume Apollinaire** (przełożył **Lech Piwowar**): O strzelającej baterji — **Lech Piwowar:** * * * — Sprawa konfiskaty „Sygnałów“ w sejmie. Przegląd prasy. Korespondencja. **K. Baraniecki:** Banzaj! (rys.). 8 stron. 7 ilustracyj.

MARJAN CZUCHNOWSKI

KSAWERA*)

Jerzy zapalił światło. Ksawera spoczywała na tapczanie z przymkniętemi oczyma, bardzo blada, z wyrazem cierpienia na twarzy. Bujne, ciemne włosy, rozsypane bezładnie, leżały obok głowy przytulonej do poduszek, haftowanych ręcznie jedwabiem. Krew uciekła jej z policzków, były białe jak papier, z lekką żółtawą barwą na wystających kościach, oczy zacienione długą, czarną rzęsą, grubą i załamaną, o zmęczonych powiekach z surowego, bronzowego materjału, wpadnięte były i zamknięte w sobie ciężko i stanowczo.

Ostra zmarszczka między puszystemi brwiami przecinała całe czoło, zroszone potem. Podbródek wyostrzył się i wydłużył, koło namiętnych, pulchnych warg, napłyniętych krwią i nawilgłych, zawsze czerwonych i czystych, ułożyły się odniedawna dwa cienie, jeszcze niezdecydowane w swych linjach, nadające wesołym zawsze ustom Ksawery tragiczny grymas, jakby płakała dużo.

Była jeszcze piękna. Bardzo piękna.

Zmieniła się jednak zdecydowanie w tych dwu latach ostatnich, w których się nie widzieli. Olśniewająca niegdyś cera miała teraz chorowitą barwę, twarz wychudła, nabrała rysów ostrych. Pełne, różowe, przebłyskujące delikatną białością policzki, z dwoma maleńkiemi dołkami po bokach, ustąpiły surowej, zimnej barwie, chudej skórze, pełnej przelotnych i ruchliwych cieni, załomów i świecących linij, przebiegających we wszystkich kierunkach.

Niebieskawy puch i poblask mleczny, jakie otulały dotąd zawsze jej twarz dziewczęcą, starł czas i przejścia z wyjątkową brutalnością. Śnieżna skóra na szyi poczęła się marszczyć nieznacznie i starzeć, tylko na przejściu do bark i piersi, zachowała jeszcze niepokalanie dziewiczą, białą delikatność.

Ksawera schudła. Jej długie, wysokie nogi miały wprawdzie dawną sprężystość i powab, ale straciły swą pierwotną świeżość i urodę, opartą na biodrach, prawie męskich, ale tego wyrzeźbionych. Ręce się jej wydłużyły i pociemniały zwierzchu, palce nie miały już tej powiewności strun dźwięcznych i żywych. Tylko piersi miała prawdopodobnie te same, wysokie a drobne, pełne zawsze niewypowiedzianego uroku i siły. Miała teraz w swej postaci coś raczej męskiego, wyglądała bardziej szorstko, ruchy jej stały się brutalne i mniej opanowane. Ale bił nadal od jej całej postaci czar zdrowej urody kobiecej, jakiś szeroki, mocny patos miłosny, przesycony cierpieniem i wewnętrzną troską, rozpaczą czy bólem, głęboko zakorzenionym i im bardziej wyraz jej oczu, twarzy i całej postaci był tragiczny, tem bardziej była ponętna i pociągająca. Urzekała sobą i swojem cierpieniem.

Kochanek nie mógł od niej oderwać oczu. Stał i patrzył na nią, liczył z drżeniem serca każdą zmarszczkę, każdą zmianę, każdy nowy szczegół w niej całej, który ranił go boleśnie. Był bezsilny wobec własnych uczuć związanych z nią. Leżała wysoka i wielka, na całą długość kanapy, jak martwa, bez kropli krwi w swej mądrej, głęboko smutnej twarzy.

— Ach, jakże bardzo się zmieniła! — myślał i uderzyła w niego nagle taka fala miłości, tkliwości i czułości, że do oczu napłynęły mu łzy. Chciał jej to wszystko powiedzieć, gnała go niecierpliwość, ale czekał, aż oczy otworzy. Ona tymczasem, nie otwierając oczu w dalszym ciągu, jakimś dziwnym, zmienionym głosem powiedziała przed siebie:

— Nie spodziewałam się ciebie tu...

Potem dodała smutno:

— Nie masz nade mną litości!

Zadrżał po jej słowach i znieruchomiał. Ona znów leżąc martwo, z przymkniętemi oczami, powiedziała, jakby ją to dręczyło oddawna:

— Mówiono u nas, że nie żyjesz. W każdym razie tak, jakbyś nie żył. Dla mnie nie umrzesz nigdy! Dla mnie będziesz żył zawsze.

Zaczęła oddychać ciężko i zaniosła się kaszlem. Jerzy patrzył na nią wstrząśnięty dogłębi. Pot wystąpił mu na czoło. Nie mógł nic z tego zrozumieć, dopiero nagła myśl strzeliła mu do głowy, aż jęknął głośno, zęby mu szczękały, chciał coś zapytać, ale nie mógł słowa wykrztusić. Ksawera była nieubłagana w swej martwocie.

Po chwili dopiero zdobył się na pytanie.

— Dlaczego tak mówisz, Wusia?

— Nic. Głupstwo. To ciebie nie tyczy. Tak sobie mówiłam.

Poczem zapytała cicho:

— Kiedy wróciłeś z obozu?

— Dziś rano i zaraz cię szukałem.

— Byłeś aresztowany dwa lata temu i trzy miesiące, prawda?

— Tak. Na co ci to potrzebne?

— Dziś już na nic, mój drogi. Tak pytam.

— Dlaczego o to akurat pytasz?

— Nie zamęczaj mnie, kochany. Miej litość nade mną!

Otworzyła oczy o zmęczonych, smutnych powiekach, popatrzyła bezmyślnie w przestrzeń, potem je znów przymknęła i leżała bez ruchu.

Znowu rozległ się gwizd dalekiej syreny na Wiśle i ucichł w nocy głębokiej.

— Statki wracają do portu — powiedziała Ksawera.

— Już musi być późno — dodała zaraz szybko.

— Wpół do pierwszej — cicho odrzekł, trzymając zegarek w drżących dłoniach.

— Jak ci tam było? — zapytała zmęczonym głosem.

— Gdzie — tam?

— No, w obozie.

— Głupstwo! Są ważniejsze, Wusiu, dla nas sprawy.

— Słusznie to powiedziałeś.

Poruszyła się gwałtownie, aż sprężyny zagrały w kanapie. I znowu zapadła w bezwład.

Syreny na Wiśle zwoływały się przeciągle i ich stłumiony głos wpadał do pokoju jak okrutne, bezlitosne wołanie w ciemność, w noc, w nieprzenikniony mrok.

Milczenie trwało długo. Przerwała je nieoczekiwanie Ksawera. Otwarła oczy, patrzyła chwilę w Jerzego, po twarzy przeleciał jej jakiś bolesny skurcz, przelotne cienie, odmalowała się na niej jakaś trwoga i lęk, potem spowrotem odzyskała swój stanowczy, spokojny, zdecydowany wyraz. Wstrząsnęła głową, włosy rozsypały się strugą, objęła je rękami, wstała z tapczanu, potem usiadła i zwijając obu rękami włosy we węzeł powiedziała bardzo spokojnie i powoli, patrząc w kąt pokoju:

— Od roku żyłam z kim innym. Muszę ci to powiedzieć.

Oburącz podtrzymuje gruby węzeł włosów i dodaje jeszcze:

— Żyłam i teraz jeszcze żyję.

Mężczyzna znieruchomiał, rzęsy mu zatrzepotały nerwowo, zbiedzona jego twarz stała się jeszcze bardziej chuda i szara, usta zadrgały mu szczególnie, patrzył przerażonemi oczami na Ksawerę, kończącą upinać włosy, nagle krzyknął straszliwie:

— Powtórz, co powiedziałaś!

Kobieta skuliła się, potem podniosła się z tapczanu silnym ruchem i stanęła przed nim wysoka, wspaniała i zdecydowana.

— Żyłam z kim innym i żyję obecnie.

— Milcz!

— Powiedziałam ci prawdę. Są prawdy, które zabijają. Zabij mnie!

— Milcz!

Krzyczał tak strasznie, że wpadła do pokoju rozespana gospodyni i przez zaciśnięte zęby w ogromnym gniewie charczała:

— Głośniej! Krzyczcie głośniej! Niech wie cała ulica, kto tu w moim domu bywa. Tak. Na stare lata pójdę razem z wami do ratusza!

I trzasnęła drzwiami.

Ksawera płakała, siedząc na rogu kanapy i gryzła chustkę, zanosząc się spazmem, potem rzuciła się na poduszki i łkała głębokim szlochem. Nie pamiętała o niczem, ciałem jej wstrząsał płacz, odjęła od poduszek twarz zalaną łzami i patrząc w Jerzego, wśród silnej czkawki i spazmu mówiła urywanie:

— Dawno już chciałam wyznać ci całą prawdę. To, co jest obecnie, nie było pierwszy raz. Dręczyła mię ta prawda, ale brakło mi odwagi. Kocham cię. Nieludzko cię kocham. Dopiero teraz; dziś widzę, jak bardzo cię kocham i dlatego muszę ci powiedzieć całą prawdę. Miłość nie boi się prawdy.

— Powiesz mi względną prawdę o sobie. Prawd absolutnych, niestety, niema. Będziesz kłamała jak dotąd.

— Nie. Nie będę nic ukrywać. Powiem ci całą prawdę.

— Kłamiesz!

— Nie kłamię! Kocham cię. Ciebie tylko kochałam. Ci, którzy kochają, nie kłamią.

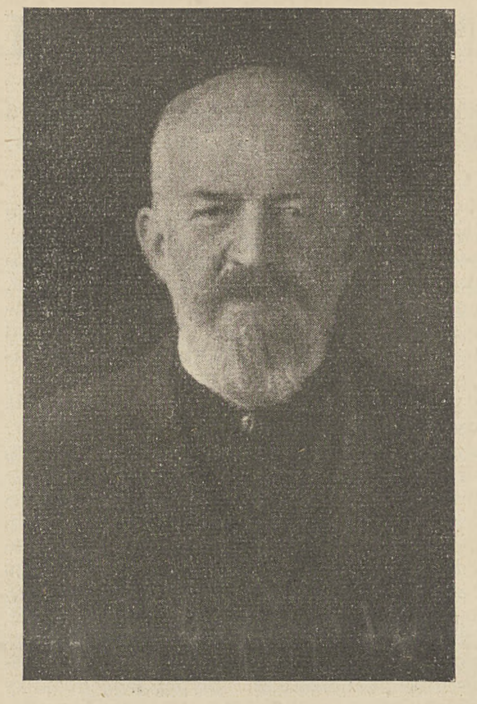
— Ale ty będziesz kłamać.

— Kocham, Jerzy, kocham. Nie wierzysz mi? Powiedz, że wierzysz!

Zerwała się z kanapy i chciała pobiec do niego, łzy ciekły jej po twarzy, po szyi i bluzce, padały na podłogę, ale on ją uprzedził i objął silnie rękami, zacisnął uścisk, aż krzyknęła z bólu i posadził spowrotem na poduszkach, zgasił lampę, wisząca, a zaświecił maleńką lampkę nocną na stoliku w kącie i zapatrzył się w przestrzeń tępo, jakby był sam w pokoju, jakby się nic przed chwilą nie stało i jakby już nic się stać nie mogło. Czoło przecięła pionowa zmarszczka, uparta i prosta. Chłopska jego twarz nie wyrażała nic, jak ziemia nie wyraża nic, gdy uciekło z niej życie. Zapatrzenie jego i zaduma wybiegło poza ściany, w których siedział, poza świat, poza życie i śmierć. Było bez granic, bez czasu i sensu.

Ksawera wpatrywała się w niego z największą tkliwością i spłakana jej twarz pozatem nie mówiła niczego innego.

*) Fragment z trzeciej po „Cynku" i „Pieniądzu" powieści p. t. „Ksawera".



W Kazimierzu Twardowskim nauka polska straciła jednego z najwybitniejszych uczonych, znakomitego pedagoga, nieprzeciętnego nauczyciela i wychowawcę, umysł jasny i twórczy.

ZUZANNA GINCZANKA

ŚWIĘTOKRADZTWO

Pomimo twojej wiedzy ominęłam błyszczące posążki
obwieszone sznurami muszel i błyszczących tygrysich zębów,
dalej minęłam bożków z polerowanej kości słoniowej
i innych drążonych w srebrze i innych z dętego złota.
I cóż mi możesz uczynić, że uporczywie błądziłam,
szukając najcięższych drzwi i przejść najbardziej krętych?

Aż w mrocznem sanktuarjum, przy którem zwiodłam straż,
z kamienną twoją rozpaczą
stanęłam
twarzą
w Twarz.

TROFEA

Amuletem na przegub ręki ciemnowłosy przede mną błyskał,
paciorkami z cennego jaspisu jasnowłosy przebierał chytrze,
i był, który miał wonne błyskotki z najprzedniejszych drzew sandałowych,
który nęcił pierścieniem sławnym, przywiezionym z zamorskich krajów,
który bursztyn foremny przyrzekał, dłoń mi przy tem gładząc przebiegle.

Przyjdę do ciebie i powiem z uczuciem chełpliwem i słodkiem:
„Oto mam szyję
nagą
i ręce niezdobne w błyskotki".

NOWE POEZJE

Jan Bolesław Ożóg. Wyjazd wnuka. Warszawa, Bibljoteka „Okolicy Poetów", 1937; str. 45 i 3 nl.

Nie przesądzając słuszności tez autentyzmu, należy stwierdzić jedno: kierunek ten, a raczej światopogląd przyczynia się walnie do oczyszczania atmosfery ideowej, żądając od poety rzetelnego i bezkompromisowego stosunku do własnego utworu. Najlepsze zaś wyjaśnienie różnych wątpliwości, związanych z zagadnieniem autentyzmu może dać nam przykład szczegółowy, rozpraszający w znacznej mierze teoretyczne nieporozumienia. Za taki oto przykład służy doskonale poezja Ożoga.

Tłem doznań poetyckich młodego debjutanta jest wiejski krajobraz od rana do nocy, ukazany z najróżniejszych aspektów. Poeta trzyma się mocno i nieustępliwie przedmiotów i spraw czysto konkretnych, których różnorodność umie we wnętrzu swojej chłodnej indywidualności pięknie wysublimować, przyczem rozpiętość treściowa w jego utworach idzie razem z ekonomją słowa. W tym właśnie momencie uwidocznia się dodatnia rola autentyzmu, usilnie akcentującego materjał dany bezpośrednio jako substrat wzruszeń i równocześnie eliminującego z wiersza wszelką bujdę i nieszczerość. Ożóg zamknął swą lirykę w kręgu empirycznie konstatowanych faktów, ściśle się wiążąc z glebą wsi rodzinnej, od której nie potrafią go oderwać złudne nieraz niebiosa jałowych spekulacyj poetyckich. Kiedy czytamy te wiersze, odsłaniają się przed nami obrazy, dające się skojarzyć w pamięci z czarująco naiwnemi malowidłami Rousseau'a celnika. Poeta ujmuje rzeczywistość swojego otoczenia z dziecięcym prymitywizmem, ale zarazem z delikatnością, przydającą sielankowych blasków krajobrazom. Ten prymitywizm przenika nawet zewnętrzną formę wierszy Ożoga: asonanse są chropowate i odznaczają się dużą czasem ułomnością; słusznie sam określa: „A mój wiersz to taki kościółek w pokrzywach: na ceglastym murku czarna gliniana flaszka". Lecz taki prymitywizm wyobrażeniowy, takie spojrzenie w swoisty sposób kształtujące zdarzenia i rzeczy nie przeszkadza wcale pocie w formułowaniu i podaniu subtelnych, pełnych uroku wzruszeń („Dom pod murzką", „Powrót w dzieciństwo", „Wyjazd wnuka"). Mocne zaś wczucie się w przyrodę daje mu możność odtwarzania zjawisk niemal dotykalnych z racji ich sensualizmu („Pokrzywą wiatru smaga nam rzęce poranek").

Godny uwagi wydaje się katolicyzm Ożoga, wiodący go od wielobarwnych opisów uroczystości kościelnych („Wjazd biskupa") ku głębokim modlitewnym stanom („Niepokalana świt").

Poeta nie ulega pokusie i słusznie wstrzymuje się od poruszania palących problemów socjalnych wsi. Dla tego rodzaju spraw, poezja prawdziwie liryczna z trudem bywa odpowiedniem schroniskiem. Wracając do formalnej strony, nie wolno nie zauważyć takich zgrzytów, występujących w pewnych związkach wyobrażeniowych, jak n. p.: „malinowe powieki trzeszczą na mieście" albo „szyja konia — miedziana lambda" (samo dla siebie ciekawe), które grożą Ożogowi uwikłaniem się w nieuzasadnionych sztucznościach. Bez względu jednak na te czy inne usterki, „Wyjazd wnuka" góruje, dzięki wyraźnej postawie poetyckiej autora, popartej talentem, nad mnóstwem corocznych debjutów.

Władysław Jaworski

Jerzy Zagórski. Wyprawy. Związek Zawodowy Literatów Polskich (Wilno, 1937).

Dziwne są drogi wileńskiej awangardy. Miłosz reprezentuje już tylko swoje pokolenie. Jest widomym znakiem jego tragicznej bezsilności obramowanej wieczną problematyką w jednodniowem wydaniu, a jeśli tryumfalne zajęcie stanowiska kontemplacji jest zwycięstwem, to zwycięstwem pokonanego. Wytworzona wokół niego atmosfera uznania oznacza jedynie solidaryzowanie się współczesności z tem wszystkiem, co ją wyraża, jest wyznaniem niewiary zaciśnej doliny w istnienie górskich szczytów niedostępnych dla niej. Putrament zaprzeczył własnym zapowiedziom. Pozostał Zagórski. Czy jednak pozostał? Oczekiwaliśmy od autora „Ostrza mostu" i „Przyjścia wroga" nabrzmiałych niespotykanym u kogokolwiek innego buntem przeciw wszystkiemu, co istnieje w ramach tradycyjnego porządku, tak wiele, że sami przygotowaliśmy sobie zawód. „Wyprawy" uważane przez większość wielbicieli talentu Zagórskiego za ukoronowanie wysiłku oczyszczenia wydają się być jedynie przyciszeniem. Czyż wielka katharsis ma sprowadzać na płaszczyznę powszechności? Jesteśmy świadkami powrotu standaryzacji, tej standaryzacji najgroźniejszej, bo obowiązującej szczyty. Stworzenie własnej formy, własnego sposobu widzenia jest przywilejem nielicznych: tylko Przyboś, Brzękowski, Czechowicz. Mógłby ktoś cytować wiele nazwisk (ze współczesnych chociażby Flukowski) twórców, którzy cudzą formą obwarowali własne arcydzieła. Lecz czyż precedens jest przekonywającym dowodem? I nie „detaliści awangardy", przyczepiający kwiatki do kożucha, lecz właśnie jej współtwórcy stwarzają psychozę kryzysu.

Tamtych nikt nie bierze na serjo, a ci... dając pierwszorzędne jakości oddziaływają w kierunku napewno odwrotnym od zamierzonego. **Zagraża nam reakcja umiaru** .Ten, kto powołując się na piękno „Znaku“, „Śmierci Parysa“, „Cieni“ czy „Krajobrazu“ będzie twierdził, że w Zagórskim artysta pokonał eksperymentatora, da jeszcze raz dowód niezrozumienia funkcji artysty. „Istnieje pewien punkt w umyśle, z którego życie i śmierć, rzeczywistość i nierzeczywistość, przeszłość i przyszłość, wyrażalne i niewyrażalne, wyż i niż, przestają być uważane za sprzeczności“. Wyznaczenie tego punktu, powiada Breton, jest jedynem dążeniem nadrealizmu. Lecz czyż tylko nadrealizmu? Artysta nowoczesny ma przed sobą o wiele większe zadanie niż osiągnięcie **czystości.** Twórczość poety musi objąć całego człowieka. Granice jej nie mieszczą się w estetyce. Tylko dążenie do wyrażenia integralnego człowieka, do wysondowania **dna istnienia,** może zbudować podwaliny **mitu,** na który czekamy. „Wyprawy“ Zagórskiego nie przyczyniają się do tego. Przeciwnie, zasugerują licznych zwolenników tego poety myślą o odwrocie. Jesteśmy na progu nowej szkoły poetyckiej, w której może wbrew intencjom mimowolnych twórców odżyją tradycje klasyczne. Wilno na mapie polskiego ruchu awangardowego staje się coraz mniejsze. Czy trzeba je już całkiem wymazać? Pozostał jeszcze Maśliński. Czekamy.

Zbigniew Bieńkowski

W OCZACH ZACHODU

Juljan Benda stawia w „Marianne“ pytanie: „Czy należy zachęcać młodego człowieka o przeciętnych ambicjach i zaletach do bardziej ambitnych wysiłków tylko dlatego, że jest młody?“.

Jedni przytakują ze względów sentymentalnych, wzruszają ich nadzieje, zapały, a nawet niezręczności młodych. Drudzy mówią: Zachęcamy młodych, ponieważ oni wniosą nowe formy sztuki jutra. Benda zarzuca im, że powinni mówić raczej: sztuki, która może być sztuką jutra. A przecież luksus sztuki nie był dany wszystkim epokom. Inni wreszcie zachęcają młodych z racyj mniej czystych. Powiedzieć młodemu, nieznanemu człowiekowi, że jego rękopis jest arcydziełem, zyskuje się go na życie. Wreszcie młodzi wychwalają pod niebiosa siebie samych. Benda cytuje zdanie Barrès'a: „Niektórzy ludzie zajmują wielkie stanowiska, nie dlatego, że wielkie zasługi ich do tego przeznaczyły, ale ponieważ najwyższe stanowiska muszą być obsadzone“. Każde pokolenie chce mieć swoich wielkich ludzi, a jeśli ich nie ma, mianuje nimi ludzi średnich uzdolnień.

Jan Cassou odpowiada („Marianne“, nr. 275) Bendzie, że chociaż świat obecny pozyskuje sobie współpracę młodych, młodzi sami wbrew temu, co się zwykle mówi, nie troszczą się o przyszłość, ale żyją gwałtownie, utrwalają się w swojej namiętności czy swojem nieszczęściu. Chętnie uważają siebie za cel sam w sobie. W Niemczech młodzież oddzieliła się od innych pokoleń, aby w samej sobie znaleźć usprawiedliwienie rozpaczliwe. Młodzi chcą żyć dla idei.

Później dopiero, w latach dojrzałych rozumie człowiek i ocenia sens tej gwałtownej młodości. Warta jest ona wtedy właśnie, kiedy przestaje nią być, kiedy przemienia w czyn to, co w niej było ruchem.

Młodość sama w sobie nie ma słuszności, ale trzeba przyznać rację młodości, aby mogła stworzyć swą przyszłość autentyczną i nową, a nie przekazać karykaturę przeszłości. Młodzi nie mają dostępu do rzeczy konkretnych, mogą się tylko oburzać, marzyć, buntować się i przyzywać na pomoc idee.

„Są ustroje, które kamuflują swą starość pozorami bujności, schlebiając młodym. Łudzą się, że młodość jest celem sama w sobie. Uświęcają jej muszkuły, jej słabość gorzką i owczą, jej pychę i ponurość, ale niedobrą miłością jest demagogja. Kochać młodych, to pomóc im zrozumieć głęboki sens ich metamorfozy. Bo niema niczego bardziej czarodziejskiego, jak możność stania się człowiekiem“.

*

Publiczność, oddawna już zmęczona oszustwami o rzekomej nieinterwencji w Hiszpanji, słusznie ignoruje takie bajeczki, jakoby Mussolini postanowił wycofać wszystkie swoje oddziały z Hiszpanji. Źródłem tych wiadomości, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie jest nic innego, jak propaganda ambasad włoskich. Ciężary wyprawy hiszpańskiej kosztują Mussoliniego do obecnej chwili 750 miljonów złotych, istnieje także sprawa préstige'u. Niewątpliwie Mussolini pragnie przesłać generałowi Franco silną pomoc, aby zwiększyć szanse jego wiosennej ofensywy. Nie jest jednak rzeczą pewną, czy duce przeprowadzi swój plan, w Abisynji ma on ćwierć miljona wojska, które musi utrzymywać w bardzo trudnych warunkach, wciąż jeszcze wojennych. Nadto ma drugą dużą armję w Libji. („New Statesman and Nation“, 12. II. 1938 r.).

*

Druga czystka wykazała olbrzymi postęp w technice Hitlera. Dzięki niej państwo totalistyczne osiągnęło niemal doskonałość.

Naczelne władze wojskowe utrzymały swój préstige junkierski i nie były przejęte narodowym socjalizmem, chociaż wolały oczywiście ten ustrój od demokracji.

W miarę jednak, jak Hitler przeszedł od spraw organizacji wewnętrznej do spraw ofensywy zagranicznej, wojskowość coraz bardziej krytycznie przyjmowała zobowiązania jakie jej narzucano.

Przyczyny ostrożności i umiarkowania były w znacznej części techniczne. Wojskowość lepiej od cywilnych przewódców hitlerowskich wiedziała, w okresie zajmowania Ruhry, że nowozaciężna armja w tym czasie nie sprostałaby ryzyku wojny. Stąd też ówczesny sprzeciw. Pozatem fachowcy wojskowi nie podzielają zdania signor Mussoliniego o zdolnościach armji włoskiej i lepiej pamiętają zdradę sprzymierzeńca z 1914 roku. Przez długie lata wzajemnej pomocy doszli do należytego oceniania czerwonej armji i nie mieli wielkiej ochoty na zajęcie Ukrainy. Jeszcze mniej entuzjazmu wykazali dla potrójnego przymierza „przeciw kominternowi“, które ustawiało przeciw nim Sowiety, Francję, Czechosłowację i Wielką Brytanję.

Stali się więc trudnymi kolegami w grze bluffu i ekspansji. Zapewne nie zrozumieli, jak wiele można uzyskać zuchwałym bluffem od niezdecydowanego przeciwnika. Bo chociaż wyznawali również nadzieje ekspansji i imperjalizmu, pragnęli jednak stać się najpierw zupełnie pewnymi swego instrumentu działania. („New Statesman and Nation“, 12. II. 1938).

*

Korespondent z północnych Chin donosi, że całe wsie chińskie są zmiecione z powierzchni ziemi. Najpierw regularnie zabija się chłopów, potem prowadzi dochodzenia. Stosowany jest środek wspólnej odpowiedzialności, t. zn. traci się całą rodzinę, jeżeli jeden z jej członków należy do przeciwjapońskiej organizacji. Ma to zapewnić bezpieczeństwo oficerom japońskim na wypadek przyszłej wojny z Rosją, albowiem jeden z celów, starannie zamilczanych, podboju Chin jest uzyskanie „surowca ludzkiego“ do przyszłej wojny. („New Statesman and Nation“, 15. I. 1938 r.).

*

Codzień Niemcy dostarczają nowych dowodów poważnego wyczerpania ekonomicznego, spowodowanego intensywnem zbrojeniem się i wykonywaniem planu czteroletniego. Po pięcioletnim wzroście aktywności, przemysł niemiecki osiągnął stan, w którym konieczne są nagłe naprawy i odnowienie maszyn. Ale surowce, praca i zdolność produkcji są zmonopolizowane dla celów uzbrojenia i autarkji. Rezultaty tego ilustruje chociażby sprawozdanie kolei Rzeszy za rok 1937. Chociaż ruch kolejowy wzrósł o 70 procent od 1933, jednak tabor kolejowy spadł o 10 procent. Zamiast 2.000 kilometrów szyn, odnowiono tylko 1200, z tego połowa, to nie nowe, ale naprawione szyny. Namiastki są używane w wielkim zakresie do najważniejszych nawet części lokomotywy, n. p. w rurach stal zamiast miedzi. Koleje niemieckie były przykładem punktualności i bezpieczeństwa. Teraz są niepunktualne, a liczba katastrof znacznie wzrosła. Liczba osób zabitych i rannych w 1937 r. w porównaniu z rokiem 1936 jest ponurym komentarzem do polityki ekonomicznej dzisiejszych Niemiec. („New Statesman and Nation“, 22. I. 1938 roku).

*

„Brak robotników rolnych zmusza Niemcy do korzystania z czasowej immigracji robotników włoskich i polskich. Ale iżby ocalić rasę przed skażeniem, robotnicy polscy i włoscy będą zamykani na noc w barakach“. „Daily Telegraph“.

„New Statesman and Nation“ (22. I. 1938) daje w tej sprawie następujący wierszyk:

Can the Bureau of Tribal Control
save the Aryan bloodstock and soul
from the energy phallic
of tubers Italic
or swedes impregnated with Pole?

*

Bracia Roselli zginęli z ręki O. V. R. A. Carlo Roselli był dla obecnych władców Włoch wrogiem nr. 1: duszą propagandy przeciwfaszystowskiej we Francji. Poświęcał jej znaczną część swoich wielkich dochodów. On organizował niegdyś rajdy samolotowe nad Rzymem i rozrzucanie ulotek. On odesłał rodzinom legjonistów włoskich, poległych pod Guadalajara, papiery znalezione przy zmarłych, co spowodowało rozruchy, kiedy wysyłano nowe posiłki do Hiszpanji. („Marianne“).

FRASZKI

PANU JERZEMU P. DO SZTAMBUCHA

Nie kłuj, jak oset,
boś waterkloset.

NA DYSKUSJĘ O MASONACH

Pan poseł był wielce zgorszony,
że w Polsce się mnożą masony.
Pan premjer zaś odrzekł uprzejmie,
że mnożą się... nawet i w sejmie.

Jerzy Kamil Weintraub

POWIEŚĆ O WOJNIE

Wielka wojna rozcięła dzieje współczesne ludzkości na dwie fazy, podobnie jak tektoniczny wstrząs rozcina skałę. Jedna część osuwa się wzdłuż pęknięcia w dół i nigdy już nie może się wydźwignąć, nigdy połączyć się z drugą ozdrowieńczą blizną. Taki uskok jest i pozostanie nazawsze otwartą raną na ciele ziemi, świadczącą dobitnie o wstrząsie, który spowodował ruch skalnych mas.

Wstrząsem, który poruszył masy ludzkie w niewidzianych dotąd rozmiarach, który wytrącił z normalnych torów życie Europy i pchnął ją nazawsze w inne łożysko, była mobilizacja mocrastw w lipcu 1914.

Granica, linja demarkacyjna między wojną i pokojem, była owego lata 1914 tak chwiejna i nikła, że wystarczyło doprawdy jedno pociągnięcie, jeden śmiały, biorący na siebie odpowiedzialność krok, a wielka wojna i jej skutki zostałyby ludzkości oszczędzone. Tego kroku decydującego nie uczynił nikt. Europa toczyła się ku przepaści i nikt, kto miał możność, nie wstrzymał jej, nikt nie zdobył się na słowo, którego oczekiwano. Dlaczego tak się stało? Jak to było możliwe? Czy doprawdy nie było siły, zdolnej zatrzymać zło? Oto pytania, dręczące nas do dziś.

Do tych tygodni i dni, poprzedzających nakazy mobilizacyjne w stolicach państw europejskich, do tego najbardziej ponurego okresu w dziejach ludzkości, do samej linji światobójczego przełomu, podszedł świetny pisarz francuski Roger Martin du Gard w ostatnich trzech tomach*) swego wielkiego cyklu powieściowego „Thibaultowie“. Zstępuje w nich w złowieszczą atmosferę upalnego lipca, w mroki czającego się, nieludzkiego, choć przez ludzi wyzwolonego kataklizmu, stara się przeniknąć i ogarnąć całość wydarzeń, obdarzony najżarliwszem spojrzeniem badacza, najczulszem seismografem umysłu i serca, które za wszelką cenę chcą wyświetlić, przedstawić, pokazać, jak było naprawdę.

W wiele lat po napisaniu ostatniego, zdawałoby się, ogniwa cyklu, zrodziła się ta książka, od której niesposób się oderwać, pasjonująca i tragiczna. Opowiada dzień po dniu rozwój i narastanie wypadków, wiodących do katastrofy, wprowadza w mateczniki dyplomatycznej roboty, wiedzie przez osądy i odczucia przeciętnych obywateli, przez manifestacje przeciwwojenne mas zorganizowanego proletarjatu. Dzieło du Garda jest — jeśli idzie o fakty — wiernym reportażem powieściowym tego, co działo się w Europie od 24 lipca do 2 sierpnia 1914 r. Ale reportażem wagi niezwykłej, w którym nad doskonałą konstrukcją i montażem dominuje duchowa i etyczna strona zagadnienia wojny, który głębokiemi cięciami wdraża się w psychikę mas i jednostek, aby obnażyć człowieka i to, co on czuł i myślał w przededniu mobilizacji.

Akcja tej książki trwa zaledwie parę tygodni; ograniczona w czasie, rozbudowuje się przestrzennie i w głąb, odzwierciedlając poglądy i uczucia najszerszych i najróżnorodniejszych warstw ludności. Wyszedłszy z międzynarodowego środowiska rewolucyjnych socjalistów w Genewie, łudzących się doostatka, że zorganizowany proletarjat może powstrzymać i powstrzyma wojnę samą groźbą strejku generalnego, przerzuca się do Paryża, Berlina, Brukseli, by kolejno, w olbrzymich rzutach ukazać możliwość takiego działania i jego załamanie. Zabójstwo Jaurèsa 31. lipca, bezpośrednio przed jego zetknięciem się z delegatem partji niemieckiej i ustaleniem postępowania w obu krajach, podkopało ostatecznie przeciwwojenną akcję socjalistów, którym zabrakło najsilniejszego i zdecydowanego na wszystko przewódcy. Masy czekały na hasło. Ale hasło nie zostało rzucone. A nastroje przeciwwojenne, silne jeszcze kilka dni temu, zwolna zmieniały się, nawet pacyfiści i bojowcy przestali zwalczać wojnę, którą uważali jedynie za obronną. Pisarz pokazuje w sposób cudowny, jak z godziny na godzinę, z chwili na chwilę, zmieniał się nastrój mas, szarego człowieka, jak przeciętny, spokojny zjadacz chleba, otumaniony przez prasę i walące się nań wypadki, których kulisy były przed nim zakryte, poddawał się, pozwalał się formować i wmawiać w siebie nienawiść do wroga, której dwa dni temu jeszcze wcale nie żywił, może dlatego, że w ten sposób łatwiej mu było ugiąć się, pomaszerować karnie z innymi, zabijać...

Ostatnie dnie i noce przedwojennej Europy dyszą już głuchą, nieuchwytną grozą, już niedosłyszalnie dla wielu pękają więźby starego porządku, już idzie ostry wiew barbarzyństwa i wzajemnej nienawiści narodów, bez czego wojna była wogóle nie do pomyślenia. Wypracowywało się to szaleństwo w powolnej, systematycznej konspiracji, w tajnych układach, zdala od opinji publicznej, w nieświadomości szerokich mas, aby pewnej godziny, kiedy sztaby generalne uznały przygotowania wojenne za dostateczne, runąć straszliwym nakazem ogólnej mobilizacji na nieprzygotowanych i nie przeczuwających niczego obywateli.

R. M. du Gard, wspaniały Francuz i demokrata, nie upraszcza sobie bynajmniej zadania zwaleniem całej winy wybuchu wojny na Niemców i ich politykę. W równej mierze obarcza nią rządy swego państwa (czy jest to do pomyślenia u pisarza innej narodowości?), przymierze Francji z Rosją, wzmocnione świeżą wizytą Poincaré'go u cara. Książka jego jest świadomym czynem człowieka twórczego, który usiłuje przedrzeć się przez chaotyczną miazgę fermentów, opinij i nastrojów w wilję wojny, aby wyłowić istotę rzeczy. Nie potępienie jednych i wybielenie drugich: to byłoby zbyt proste dla pisarza tej miary. Ale rzeczywiste oblicze tych dni i godzin, kiedy posępne cienie chyliły się nad Europą i kiedy można było jeszcze zapobiec katastrofie i uratować świat.

Konsternacja i zamęt, jakie powstały we wszystkich kancelarjach dyplomatycznych na wieść o nieprzejednanem stanowisku Austrji po zabójstwie w Sarajewie, sparaliżowały zimną krew i trzeźwe myślenie, nieodzowne w takiej chwili. Zapanowała wzajemna nieufność, śledzenie się, niewiara, dyplomaci potracili głowy. W tych dramatycznych momentach rozprzężenia dosłownie wszystko, najmniejsza drobnostka, najbłahsza okoliczność przyczyniały się do zaognienia sytuacji i wzmożenia obustronnej obawy, trzymały w szachu dyplomatów i kierujących mężów stanu, nie było rozwagi i próby wyjścia z impasu. I wówczas powoli, krok za krokiem, władza i tem samem moc powstrzymania huraganu, prześlizgiwać się poczęła we wszystkich krajach w ręce opętanych megalomanją jednostek, klik militarnych oraz kół stojących za niemi, zatem tych sfer, które od początku konfliktu parły do wojny, by przy tym ogniu upiec swoją pieczeń. W chwili, kiedy smagane niepokojem rządy wezwały do współpracy sztaby generalne, kiedy poniechano dyplomatycznych formułek, a jako ostatni argument przeciw „napastnikowi“ wysunięto siłę zbrojną, kiedy plakaty mobilizacyjne czarnemi czcionkami zakrzyczały na ulicach miast, dramatyczny prolog nowej epoki był skończony: zrąb przedwojennego, statycznego świata runął, pokój ustąpił wojnie, zbiorowe porozumienie i współpraca narodów — nienawiści i szaleństwu, trwającym do dziś.

Wojna była szaleństwem. Ogół doostatka nie wierzył w wojnę. Zaskoczyła ona niejednego dyplomatę. Ale szaleństwo to było **przygotowane:** wystarczyła iskra. To jest istota zagadnienia i jeden z głębinowych nurtów książki du Garda.

Nie waham się twierdzić, że książka ta jest stokroć ważniejsza i więcej nas uczy od licznych książek wojennych w ścisłem znaczeniu tego słowa. Tamte opisują miażdżące działanie rozpędzonych trybów machiny wojennej, ta — sposób, w jaki tryby zostały naoliwione i puszczone w ruch. Doświadczenie lat wojennych wykazało dowodnie, że krwawych kół raz rozpętanych żadna siła ludzka nie jest w stanie powstrzymać i opanować. Jest już zapóźno.

Mimo że du Gard nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jak można zapobiec wojnie, mimo że w swym patetycznym opisie nie wznosi ani razu agitacyjnych przybudówek i rusztowań, pozwalając przemawiać jedynie wypadkom, uważny czytelnik pojmie, że kośćcem moralnym jego dzieła jest postawa młodego, fanatycznego rewolucjonisty, Jacques Thibault'a. On jeden spośród tysięcy, niemal jedyny spośród towarzyszy partyjnych, szermujących hasłami pacyfistycznemi do dnia wybuchu wojny, posiada dosyć wiary w ideę międzynarodowego braterstwa, dosyć siły woli i hartu ducha, by iść do końca, by iść świadomie na śmierć za wewnętrznym nakazem. On jeden ma odwagę doostatka, nawet wówczas, gdy wszystko stracone, krzyczeć: „wojna wojnie!“ i czynnie, bohatersko przeciwstawić się przymusowi. W postaci Jacques'a scharakteryzował autor najszlachetniejsze porywy i myśli wolnego człowieka, który nie ulega sugestji i szałowi nienawiści, który za nic nie chce poddać wartości, najbardziej w nim ludzkich i światłych, wyrzeźbionych usilną pracą samotnych lat, władzy tych, co każą zabijać.

I może świat odmieni się dopiero wówczas, gdy indywidualna etyka człowieka zatryumfuje nad instynktem stadowym, hodowanym dziś świadomie w obywatelach przez rządy niemal wszystkich państw, — instynktem, który ma usprawnić przyszłą rzeź. Oto jest drugi nurt podskórny, płynący pod kartami książki, nurt siły, wiary i prawdziwego bohaterstwa, które twórca ma odwagę przeciwstawić dzisiejszemu małemu, po zęby uzbrojonemu światu.

Wanda Kragen

*) Roger Martin du Gard: L'été 1914. Cykl „Les Thibault“, odznaczony nagrodą Nobla, ukazuje się obecnie w przekładzie Pawła Hulki-Laskowskiego, nakładem „Roju“.

W jednym z najbliższych numerów

Zofja Nałkowska

PRZEGLĄD PRASY

O nagrodzonej przez Akademję Literatury powieści Stanisława Piętaka „Młodość Jasia Kunefała“ pisze w młodokonserwatywnej **Polityce** (nr. 3) Cz. Straszewicz: „Książka Piętaka ciężaru nagrody nie wytrzymuje. Nie dlatego, by była zła, owszem, jej poetyckość, jej młodzieńczość, nawet jej „chłopskość“ ma niezaprzeczony wdzięk, ale dlatego, że nie jest dostatecznie ważna. Nie sądzę, by Polska Akademja Literatury chciała odznaczyć książkę, któraby nie miała dużego ciężaru gatunkowego; musiała się więc tego ciężaru doszukać. Jakiego? Prawdopodobnie złudziła ją „chłopska rzeczywistość“. Powieść pisana przez syna chłopskiego każe podejrzewać w niej „chłopskie wartości“, dynamikę wsi, co się obecnie cieszy wielkim mirem w Polsce. Tego wszystkiego jednak tam niema. W książce Piętaka nie znajdzie się bodaj nic, coby zatrącało o zagadnienia wsi, coby nie było jedynie akcesorycznością, ba, nawet psychologja chłopska wydaje się nam jakoś dziwnie zbliżona do naszej, mieszczańskiej czy ziemiańskiej. Ludzie Piętaka, wszyscy przybrani w poetycką mgiełkę, z trudem zdają się siedzieć na roli, poprostu niewiadomo, jak się na tej roli mogą utrzymać, tak ich roznoszą poetyckie impulsy. Owszem, jest język chłopski, prawdopodobnie autentyczny, jest kilka dobrych obserwacyj na temat życia wsi, ale żaden problem, żaden konflikt, żadna postawa w stosunku do wsi nie upoważnia do kreowania „Jasia Kunefała“ na powieść chłopską. Jedyny jej pozytyw, to stwierdzenie, że poezja potrafi zawracać w głowach zarówno przewrażliwionym ludziom z miasta, jak i twardym mieszkańcom wsi. Zresztą nie atakuję w tym wypadku Piętaka, miał on bowiem prawo nie stawiać sobie wygórowanych na swe obecne możliwości celów, atakuję wyrok Akademji, dzięki której czytelnicy „Jasia Kunefała“, będą się w nim doszukiwać rzeczy, których nie znajdą“.

Inaczej ocenia **Pion** (nr. 7): „Czy przyznano ją trafnie? To zależy od punktu widzenia. O ile było to wyróżnienie dzieła — wówczas, oczywiście, nasuwają się wątpliwości... Ale z tego punktu widzenia wogóle nagroda „młodych“ nie ma sensu. Nie tworzy się dzieł wybitnych na progu działalności artystycznej. O ile zaś — co wydaje się nam jedynem słusznem stanowiskiem — nagrodę „młodych“ przyznaje się za samorodny talent, ambicje twórcze, ujawnione możliwości rozwojowe..., no i wkońcu bierze się pod uwagę także praktyczny pożytek nagrody — wówczas trzeba stwierdzić, że Akademja nie mogła wydać słuszniejszego rozstrzygnięcia“.

*

Chowanna (nr. 1), miesięcznik, wydawany przez Instytut Pedagogiczny w Katowicach, poświęca dużo miejsca współczesnym prądom w wychowaniu i nauczaniu. Henryk Rowid, autor dzieła „Szkoła twórcza“, rozpatruje założenia wychowawcze „narodowych socjalistów“. („Czy kres pedagogiki normatywnej“). Jest to pierwsza w polskiej literaturze naukowej praca, informująca o podstawach dzisiejszego wychowania w Trzeciej Rzeszy. Autor ocenia je bardzo krytycznie, zwalcza tendencje totalistyczne i podnosi wielką wartość indywidualizmu i kształcenia osobowości. „Największą wartością w życiu społeczno-kulturalnem i w wychowaniu jest osobowość... W psychice jednostki drzemią pierwiastki twórcze, które dojrzewają i wyzwalają się w postaci różnych dóbr kulturalnych naskutek wpływów zbiorowości i środowiska... Stąd wynika zasada kształcenia osobowości oraz zasada pobudzania i rozwijania inicjatywy, pomysłowości i twórczości zarówno indywidualnej, jak i zbiorowej ,od czego zależy rozwój i postęp kultury... Twórczość w świecie ducha istnieć może i rozwijać się tylko w atmosferze wolności. Z tem wiąże się zasada uznawania i poszanowania wolności w wychowaniu... Wolność wypływa z natury człowieka i jako wolność zdyscyplinowana, będąca rezultatem wychowania, stanowi najgłębszą treść jego istoty“. — Zofja Jabłońska („Problem szkoły twórczej“) informuje ciekawie, jak dzieci z jednoklasowej szkoły na wsi (Krasna, pow. zborowski) czytały współczesnych pisarzy i jak nawiązały z nimi łączność (z Morcinkiem, Jim Pokerem, i Szelburg-Zarembiną). Podniesiono ogromną wartość wychowawczą osobistego kontaktu autora, piszącego dla dzieci i młodzieży, z jego czytelnikami. — „Czytelnictwo wśród dzieci i młodzieży“ to temat pracy Józefa Bogacza.

*

Młoda Polska (nr. 6—7) jest „miesięcznikiem ideowo-politycznym Związku Młodej Polski“. „Ideowość“ zobowiązuje. Jednym z redaktorów „Młodej Polski“, wypełniającym znaczną część numeru, jest były poeta i krytyk literacki, Włodzimierz Pietrzak. „Młoda Polska“ zajmuje się procesem grupy Dembińskiego. Cała Polska zna jego przebieg. Zarówno proces, jak i wyrok potwierdziły, że Dembiński nie był komunistą i nie działał w porozumieniu z komunistami. Cytujemy wyrok według oficjalnego komunikatu Polskiej Agencji Telegraficznej („Słowo“, 23 grudnia 1937 r.): „Sąd okręgowy w Wilnie po rozpoznaniu sprawy Henryka Dembińskiego, Stefana Jędrychowskiego, Marji Żeromskiej, Władysława Borysowicza, Icka-Józefa Schussa, Jerzego Putramenta, oskarżonych o to, że w okresie czasu od r. 1935 do połowy roku 1937 na terenie Wilna i innych miejscowości Polski — w celu zmiany przemocą ustroju państwa polskiego i oderwania od niego województw wschodnich weszli w porozumienie pomiędzy sobą i z innemi osobami, tworząc jednolity front ze spiskiem komunistycznym w Polsce, zmierzający do realizacji celów wyżej oznaczonych, czyli o czyn, przewidziany w art. 97 par. 1 w związku z art. 93 k. k. i **uznając winę wszystkich oskarżonych co do dokonania przez nich zarzuconego im przestępstwa za nieudowodnioną...**“ Dembiński i Jędrychowski zostali skazani na 4 lata więzienia, ponieważ — jak brzmi wyrok sądu — „przez wydawanie czasopism „Poprostu“ i „Karta“, umieszczanie w nich artykułów oraz rozpowszechnianie tychże czasopism, a ponadto przez wystąpienia na zgromadzeniach publicznych, budząc w ten sposób w społeczeństwie drogą karalnej propagandy oraz psychicznego oddziaływania na masy nastroje rewolucyjne, czynili przygotowania do zmiany przemocą ustroju państwa polskiego“.

Wyrok sądu okręgowego w Wilnie nie jest ostateczny. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, jakie stanowisko zajęła wobec procesu Dembińskiego „Młoda Polska“. „Młoda Polska“ twierdzi, że Dembiński, „niegdyś działacz organizacji katolickiej „Odrodzenie“, wskutek jakichś niewidocznych i tajemniczych wpływów, stał się nagle komunistą...“. „Nie wchodzimy w to, czy wyrok jest zbyt surowy czy łagodny. Dla nas ważne jest to, że zostali ukarani duchowi przewódcy akcji spiskowej komunistycznej, że ponoszą odpowiedzialność nietylko ludzie obałamuceni i analfabeci, ale i mózgi, inspirujące działalność wywrotową“.

W kulturalnem społeczeństwie jest rzeczą normalną, że człowiek jest tylko takich przekonań, do jakich się sam przyznaje lub jakie głosi. Jeśli pewna grupa uważa go za kogo innego, niż on sam siebie, i dla pewnych, niskich intencyj publicznie głosi, że należy tamtego ukarać, wsadzić do kryminału, to postępowanie takie nazywa się pospolicie denuncjacją. Na marginesie procesu adwokata Szumańskiego i prezydenta Warszawy Starzyńskiego, procesu, opartego na donosie niejakiego p. Siemaszki, urzędnika magistratu warszawskiego, pisze słusznie Cat-Mackiewicz („Casus pana Siemaszki“, „Słowo“, 23 lutego): „Casus pana Siemaszki przejmuje mnie trwogą i zgrozą. Pomiędzy denuncjowaniem rozmów ze znajomymi w kawiarni otwarta jest droga do „łozungów“, „dzieci, denuncjujcie rodziców“, zwłaszcza kiedy takie denuncjacje zamiast kopnięcia nogą są skwapliwie przyjmowane. Oto razem z innemi wypadkami wskazuje ten incydent, do jakiego poziomu kultury politycznej stacza się nasz naród, niegdyś tak honorny, dostojny, tak przesadny w nadmiarach form towarzyskich i pompatyczności w ich obserwacji. Na co nam zeszło. — Poczekajcie jeszcze, będzie gorzej“.

Jest już gorzej, jest bardzo źle. Jakiemi słowami należy nazwać młodych ludzi, będących naogół na posadach państwowych, lub pobierających pieniądze z kas państwowych i zajmujących się denuncjowaniem swoich kolegów? Każde, nawet najmocniejsze określenie będzie za łagodne. Jego zgrozę podnosi fakt, że ci, których się denuncjuje, nie mogą zabrać głosu, nie mogą się sami bronić. Znajdują się za kratami. I to jest najbardziej obrzydliwe.

Parę wspomnień. Henryk Dembiński ogłosił w nr. 26 „Sygnałów“ (z dn. 1 lutego 1937 r.) fragment swej pracy „Fryderyk Schiller — jego i nasza epoka“. Dembiński nie był już wtedy redaktorem „Poprostu“ i „Karty“. Oba pisma zamknięto. W tym czasie — styczeń, luty, marzec, kwiecień 1937 r. — przebywał we Lwowie, jako pracownik Funduszu Pracy, instytucji zatem państwowej, p. Włodzimierz Pietrzak. P. Pietrzak zetknął się z lwowskiem środowiskiem literackiem, był kilkakrotnie w redakcji „Sygnałów“, wygłaszał opinje o piśmie, również o pracy Dembińskiego, i wyrażał chęć współpracowania w „Sygnałach“. Zapowiedział już nawet tematy artykułów (m. inn. o lwowskiem życiu literackiem w oczach pisarza z innego środowiska). Z różnych jednak powodów (także spowodu wyjazdu p. Pietrzaka ze Lwowa) nie doszło do jego współpracy w „Sygnałach“.

Tak było przed rokiem. Obecnie p. Włodzimierz Pietrzak jest redaktorem „Młodej Polski“, jej głównym publicystą i szefem sztabu Związku Młodej Polski. W piśmie, redagowanem przez p. Włodzimierza Pietrzaka, ukazała się napaść i donos na człowieka, który nie może się bronić i z którym niedawno p. Pietrzak zamierzał współpracować.

*

Z okazji kongresu Stronnictwa Ludowego w Krakowie, „Albo-Albo“ i „Czarno na białem“ poświęciły ostatnie swoje numery sprawom chłopskim. Artykuły mają charakter propagandowy, dowodzą wspólności interesów inteligencji, chłopów i robotników.

K. K.

Tygodnik „Prosto z mostu“ zaatakował Tuwima za jego twórczość przekładową. Słowo DANTIST według Tuwima DENTYSTA, według „Prosto z mostu“ DRYBLAS. rys. J. Bickels



KORESPONDENCJA

O REHABILITACJĘ BRZOZOWSKIEGO

Do redaktora „Sygnałów“

W bieżącym roku mija sześćdziesiąt lat od czasu urodzin Stanisława Brzozowskiego. Rocznicę tę zapewne przypomni szerszemu ogółowi szereg artykułów i rozpraw, poświęconych twórczości autora „Legendy Młodej Polski“.

Chodzi mi o czysto osobistą sprawę zmarłego pisarza: o oczyszczenie jego pamięci z stawianych mu zarzutów wysługiwania się ochranie carskiej.

Postępująca demokratyzacja kultury (w tym wypadku wzrastające rozpowszechnienie słowa drukowanego) i stosunek pisarza do nurtujących życie prądów społecznych, forma jego wypowiadania się wobec współczesnych mu zagadnień (podpisywanie odezw, akcesy do akcyj humanitarnych, ilustrowanie tez światopoglądowych swoją twórczością literacką i t. d.) wpływają niewątpliwie na obustronne zbliżenie pisarza i czytelnika. Tem samem czytelnik, szczególnie młody, świadomie lub nieświadomie podlega urokowi osoby pisarza, jego postawie etycznej, objawia zainteresowanie jego życiem prywatnem.

Dlatego ważne jest „świadectwo moralności“ pisarza.

Oczywiście, fakt nieetycznego postępowania pisania nie może w niczem umniejszyć wartości artystycznej jego prac, lecz ze względu na społeczne oddziaływanie osobowości pisarza, naruszenie przezeń ogólnie przyjętych norm etycznych powinno społeczeństwo rozpatrzeć przez właściwe sądy partyjne, sądy obywatelskie, czy też instytucje społeczne, a wyrok publicznie ogłosić.

Stanisław Brzozowski nie żyje.

Sprawy jego nie zakończył, niestety, sąd partyjny, któremu się poddał. Znakomity twórca umarł bez rehabilitacji. Sprawy tej nie podjęła również, z niewiadomych przyczyn, Polska Akademja Literatury, mimo listu, wystosowanego do niej przez żonę i córkę Brzozowskiego.

Sprawa ta jest więc nadal otwarta.

Ze względu na społeczne znaczenie roli pisarza i jego cześć osobistą wymaga ona przełamania „zmowy milczenia“.

Nie jest bez znaczenia, że właśnie antydemokratyczny „Merkuryusz Polski“ wystąpił z obszerniejszą pracą (niepodpisaną), atakującą w niesłychany, temu pismu właściwy, sposób zmarłego pisarza i jego obrońców.

Już sam fakt anonimowej napaści na człowieka nieżyjącego, a zatem nie mogącego się bronić, zwalnia od wszelkiej polemiki z autorem paszkwilu. Podobne postępowanie najlepiej charakteryzują słowa Leona Berensona: „Delatorstwo stało się chlebem powszednim pewnego odłamu prasy polskiej... Oskarżanie w czambuł całych grup społecznych, wielkich organizacyj oświatowych, niezależnej prasy i wybitnych jednostek idzie w parze z gloryfikacją najniższych instynktów, a nawet przestępstw. **Wiara w bezkarność jest ich osłoną i bronią,** czują swą wyższość, gdyż kalumnja jest ich drugą naturą...“ („Robotnik“ z dn. 10. XII. 1937 r.).

Należy też potępić „totalne“ (jakby się to teraz nazwało), a zatem sprzeczne z kardynalnemi założeniami sprawiedliwości, podejście do sprawy Brzozowskiego, jednego z uczestników ówczesnego sądu partyjnego, który zgóry orzekł: „Należy poświęcić stu niewinnych, aniżeli puścić wolno jednego winnego“ (Wspomnienia Zofji Nałkowskiej w „Studio“).

Powtarzam: jest to sprawa otwarta. Ludzie dobrej woli, pisarze, społecznicy, organizacje i pisma literackie powinni ją w sześćdziesięciolecie urodzin pisarza rozstrzygnąć, czem złożą mu najwłaściwszy hołd.

Wiadomo bowiem, jak wielką wagę przywiązywał Brzozowski do sprawy swojej rehabilitacji.

Adolf Dicker (Czortków)

Mar. Br. Łódź. Prosimy o podanie adresu. Recenzję drukujemy.

„Gruszka“. Praca nie została zdyskwalifikowana.

R. S. Warszawa. Recenzja z powieści „Kwitnące żyto“ ukazała się już w nr. 37 „Sygnałów“. Wobec tego nadesłanego sprawozdania nie będziemy drukowali.

Z. P. Włodzimierz. List nie wyjaśnia dostatecznie sprawy konfiskaty i dlatego nie będzie umieszczony.

J. B. Utwory nie zostały wyeliminowane.

H. B. Kraków. Wiersze nie będą drukowane.

Z. P. Radomsko. Prosimy przysłać większy wybór. Adresy: „Kamena“, Chełm lubelski, Reformacka 43. „Pokolenie“, Lwów, ul. Dąbrowskiego 14, J. Typrowicz. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy.

A. D. Czortków. List drukujemy. Wierszy nie umieścimy.

Le. Wł. Warszawa. Bez wartości. Trudno uczyć na odległość. Nie wszystko zresztą zależy od nauki. Nie podejmujemy się prowadzenia szkółki poetyckiej.

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.**